

Określenie miało zdecydowanie wartość pejoratywną. Użył ktoś tego epitetu pod adresem nowo tworzącej się i pierwszej w Rzeszowie — wyższej uczelni. „Politechnika Bieszczadzka” — nazwa mieściła w sobie lekceważenie i podejrzliwość do czegoś co jest „bez szans”, tworzone na wariackich papierach, bez bazy lokalowej i kadrowej, w sposób dziki...

Przypomniało mi się to właśnie podczas niedawnej rozmowy z doc. mgr inż. Romanem Niedzielskim — rektorem Wyższej Szkoły Inżynierskiej.

— Satisfakcja? — dziwi się rektor, gdy dopytuje o to, co najbardziej cieszy władzę młodzieżowej uczelni. Jej rozwój, osiągnięcia, dorobek — uważa się za coś bardzo normalnego, coś, co musi być, coś, co jest sprawą każdego dnia — a nie powodem do euforii. Po chwili jednak dodaje: owszem prywatnie mam tę ową radość, gdy przypominę sobie lata starań o uczelnię i jak wtedy mój dobry znajomy wymiewiał się: „prędzej mi włosy na dłoni wyrosną niż...”

Upadły legendy o dzikiej bieszczadzkiej politechnice wobec faktów, wobec rzeczywistości. Uczelnia pod nazwą „Wyższa Szkoła Inżynierska” prosperuje od sześciu lat w Rzeszowie, zresztą jako jedna z pierwszych tego typu uczelni technicznych w kraju. Oczywiście byłoby to duże uproszczenie zamykać historię szkoły tylko w tym okresie; jej bezpośrednie oficjalne otwarcie — poprzedzone było długimi, skomplikowanymi etapami. Jednym z uczestniczących w nich był doc. inż. Niedzielski — towarzyszył wszystkim przedsięwzięciom zmierzającym do utworzenia wyższej szkoły technicznej. Początek lat pięćdziesiątych wyznacza datę powstania Wieczorowej Szkoły Inżynierskiej przy WSK. Początkowo nawet stanowiła samodzielną uczelnię (podlegającą bezpośrednio Ministerstwu Szkolnictwa Wyższego), później egzystowała jako wydział podobnej szkoły w Krakowie — aż w trakcie kolejnej reorganizacji przyjęła nazwę: „Studium Wieczorowo - Terenowe Wydziału Mechanicznego Politechniki Krakowskiej w Rzeszowie”. Nadal kłopoty lokalowe, nadal pogoń za salami: raz w Technikum Mechaniczno - Energetycznym, to w Szkole Podstawowej nr 10. Inicjatywy nie rozwijały się jeszcze wówczas w atmosferze ogólnego zrozumienia i przekonania co do potrzeb uczelni na tym terenie. Odmienne zdanie miała na szczęście Wytwórnia Sprzętu Komunikacyjnego i dzięki temu w 1955 r. „Studium” zyskało własne lokum w obiekcie Domu Młodego Robotnika. Wkrótce radykalny przełom: następne lata — przynoszą poparcie i pomoc ze strony KW PZPR, Prezydium WRN — efekty się uzewnętrzniają; w 1961 roku ogłoszono pierwsze egzaminy wstępne na studia dzienne (jakkolwiek jeszcze w ramach Terenowego Studium).

Sześć lat. To mało i zarazem dużo. DUŻO — gdy mówimy o osiągnięciach, gdy zaglądamy choćby w statystykę. Sześć lat — to 413 absolwentów, sześć lat — to współpraca uczelni z przemysłem, to badania naukowe prowadzone na potrzeby regionu, to naukowe konferencje i sympozja zarówno krajowe, jak międzyna-

Portrety rzeszowskich uczelni

Justyna Woś

JUŻ BEZ UTOPII

rodowe, organizowane z inicjatywy WSI.

Prawie dokładnie rok temu odbyło się za sprawą rzeszowskiej Wyższej Szkoły Inżynierskiej i Towarzystwa Przyjaciół Nauk — Międzynarodowe Sympozjum Dynamiki Konstrukcji, II Krajowe Sympozjum na temat drgań — współorganizowali prof. dr inż. Jan Woźniacki reprezentując TPN i prof. dr inż. Zbyszek Stojek z ramienia uczelni.

Na swoją renomę WSI zasłużyła nie pracą „sztuka dla sztuki”, ale konkretnym działaniem i rozwiązywaniem problemów w zakładach przemysłowych. Wprost z terenu przychodzą zamówienia zarówno pod adresem zespołów naukowo - badawczych, jak i studentów z kół naukowych, czy realizujących prace dyplomowe. Przykłady? Jest ich wiele. Kontakty ze Stalową Wolą, Nową Dębą, Tarnobrzegiem, Boguchwałą, WSK Rzeszów i WSK Mielec (notabene: w Mielcu działa „konkurencyjny” Punkt Konsultacyjny Politechniki Krakowskiej). Dąży się do koncentrowania badań poprzez tworzenie całych ekip, które kolektywnie biorą udział w rozwiązywaniu pewnych zadań. Znowu konkretny przykład: Zespół Mechaniki Technicznej — od dwóch lat prosperuje, podpisał umowę z Fabryką Maszyn i Urządzeń Wiertniczych w Gliniku Mariampolskim. Na tej podstawie prowadzi „badania konstrukcyjne masztów i wież wiertniczych”. Współpracuje też z Zakładem Doświadczalnym Silników w Nowej Dębie. Znany jest i stosowany w skali krajowej prototyp maszyn do obróbki masy porcelany. Na tej technologii opracowanej przez rzeszowską uczelnię efektywnie pracują Zakłady Porcelany w Boguchwałce.

Trudno wyliczać, wymieniać wszystkie, ustawić według hierarchii ważności — wszystkie prace — na odpowiednim odcinku badań są jednakowo ważne, dają podstawę, czy punkt wyjściowy do dalszych opracowań.

Perspektywy są szerokie. WSI dostarcza fachowców, kształci kadry również dla siebie, dąży do zwiększenia zespołu naukowo - dydaktycznego, bo od tego zależy przyszłość. Wśród osiągnięć są również kłopoty — a do takich ciągle jeszcze zalicza się niedobór zespołu dydaktyczno - naukowego. Aktualnie pracuje 120 naukowców, ale jednocześnie na jednego samodzielnego pracownika WSI przypada ponad 120 studentów. Nie trzeba chyba dodawać, iż jest to dwa razy więcej niż średnio w wyższych uczelniach technicznych kraju...

Uczelnia jest nowoczesna, wyposażona w nowe urządzenia w pracowniach, laboratoriach — niejednokrotnie słyszy się, iż budzi zazdrość innych wyższych szkół technicznych. Sprawa jest prosta. Politechniki z długoletnią tradycją, mają wiele pomocy na-

ukowych przestarzałych — tu zaś wyposażając szkołę od podstaw sprowadzało się nowości techniki, chociaż o brakach zawsze mówić można. Stąd nieustające starania i zdążające do rozbudowy uczelni i całego zaplecza laboratoryjnego.

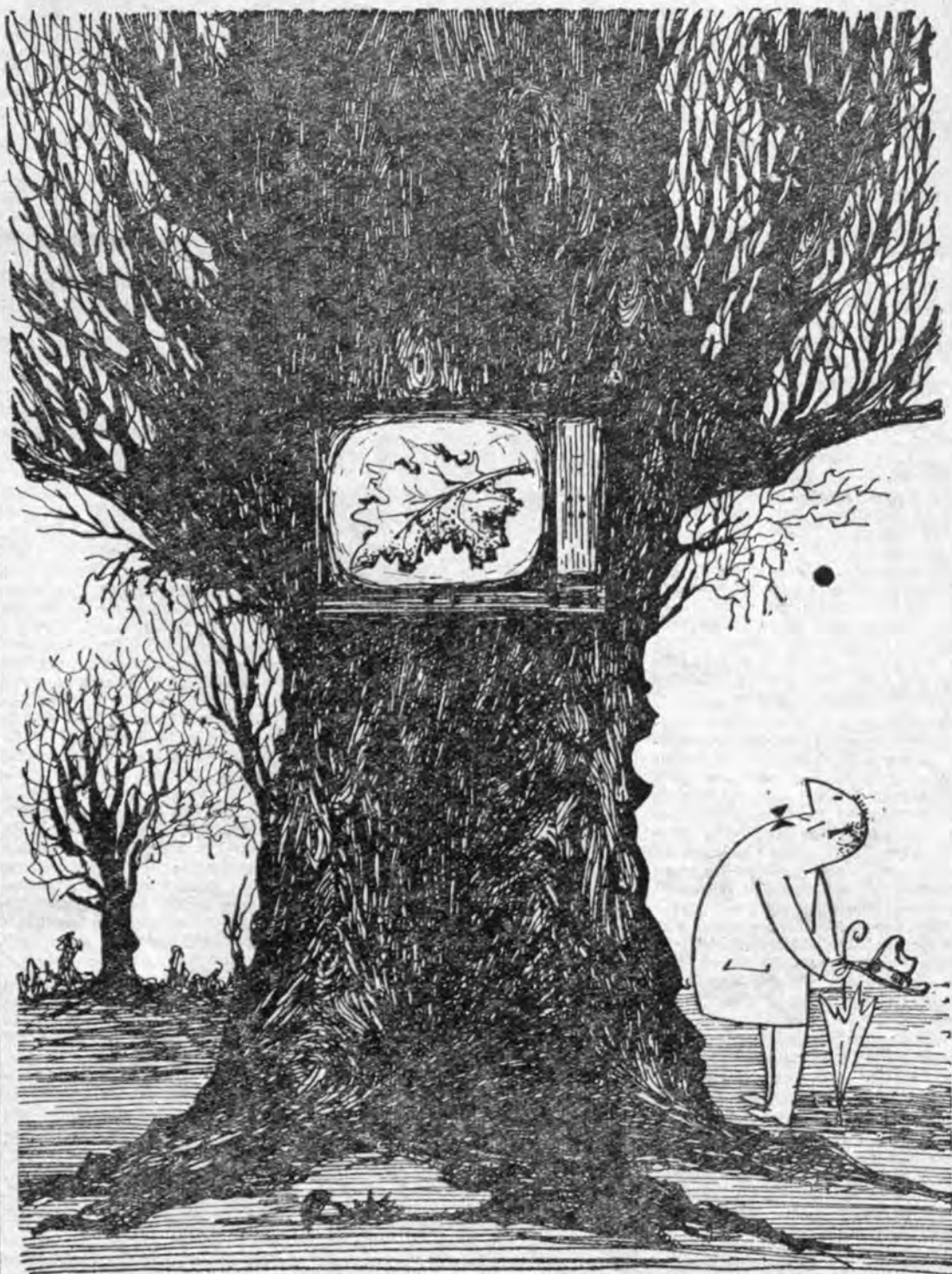
Potrzeby narastają. Przypomnijmy: zaczęło się od jednego wydziału mechanicznego z liczbą

200 studentów; dziś WSI liczy cztery: Mechaniczny, Elektryczny, Budownictwa Lądowego i Komunalnego oraz Technologii Chemicznej — łączna liczba 1200 studentów (bez słuchaczy wieczorowych i zaocznych wraz z punktami konsultacyjnymi w Stalowej Wol, Tarnobrzegu, Dębicy, Gorlicach — bo wtedy liczba kształcących jest prawie

dwukrotnie większa!). Przyszłość najbliższa zapowiada jeszcze otwarcie wydziału elektroniki, inżynierii sanitarnej... A statystyka podsumuje kiedyś w WSI — 8 000 studentów!

W ślad za tym musi się już teraz myśleć o zabezpieczeniu bazy. Bo jeżeli nawet teraz władze uczelni „mniej więcej” zadowolą stan posiadania — to za rok, dwa, trzy — wszystko pęknie w szwach — mówią. Tymczasem wystarcza 6 domów studenckich, służą jeszcze stołówki na prędko przeobrażone z zakładów gastronomicznych. A wkrótce konieczne będą większe niż obecnie obiekty audytoryjne, socjalne, kulturalno - rozrywkowe, kluby itd. itd.

I w codziennym dniu uczelni myśli się i czyni starania i o tę coraz bliższą przyszłość studentckiego Rzeszowa.



Jesien

Rys. J. SIENKIEWICZ

Karta braterstwa polsko-czechosłowackiego

WRZEŚNIOWI
TOWARZYSZE BRONI

Polsko-czechosłowackie braterstwo broni w 1939 roku i w okresie II wojny światowej zajmuje ważne miejsce we wspólnej historii naszych bratnich narodów. W 1939 roku dowódcą Wojskowej Skupiny — pierwszej czechosłowackiej jednostki wojskowej przekształconej w Legion Czechów i Słowaków w Polsce był ppłk piechoty Ludvík Svoboda. Najbliższym polskim towarzyszem broni żołnierzy legionu Svobody był ppłk artylerii Karol Zborowski, rodem z Krosna. Dziś z okazji 25-lecia Czechosłowackiej Armii Ludowej i Dnia Wojska Polskiego piszemy o tej chlubnej karcie braterstwa i przyjaźni Polaków, Czechów i Słowaków.

W tragicznej godzinie zaboru Czechosłowacji przez wojska hitlerowskie, w marcu 1939 roku, Polska przyczerpała tysiące czechosłowackich uchodźców i zbiegów, stając się dla nich przystanią, nadzieją, domem rodzinnym, jedynym „oknem na świat”.

W tym to okresie aktywną pomoc uchodźcom czeskim i słowackim niosą polscy kolejarze, straż graniczna, celnicy, chłopcy, uczeni, działacze polityczni i społeczni, księża, wojsko. Już wcześniej, po Monachium, pomoc dla uchodźców komunistycznych i socjaldemokratycznych organizują krakowscy działacze socjalistyczni i ruchu związkowego. W tym celu, przy Okręgowym Komitecie Robotniczym PPS, utworzony zostaje Komitet Pomocy Uchodźcom — Robotnikom z Czechosłowacji, którego członkiem jest m. in. Józef Cyrankiewicz. Pomoc tę zwiolokrotniają po marcowym zabiorze bratniego państwa. Aktywną pomoc niesie Komitet Polsko-Czechosłowacki pod przewodnictwem prof. dr Tadeusza Lehra — Splawińskiego rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego. Nieocenione usługi oddają wybitny malarz polski — Vlastimil Hofman i pisarz — publicysta Ksawery Pruszyński. Do akcji niesienia pomocy czynnie włącza się Wincenty Witos — prezes Stronnictwa Ludowego.

Wśród uchodźców i zbiegających do Polski jest i wielu wojskowych, którzy nie godzą się z zaborem Czechosłowacji i zdecydowani są na walkę z okupantem. Kraków staje się centrum ich zboru. Znajdują oni oparcie w tamtejszym konsulacie Republiki Czechosłowackiej nie zlikwidowanym dzięki zdecydowanej postawie konsula Vladimira Znojemskego i wicekonsula dra Vladimira Henzla. Konsulat przejmie inicjatywę organizacji niesienia pomocy uchodźcom i zbiegom, którzy nadal tu przebywają już po obsadzeniu granicy przez wojska niemieckie.

Podobnie i w Warszawie tworzy się liczne i wpływowe skupisko przy poselstwie czechosłowackim, które kontynuuje swą działalność pod kierownictwem — dr Juraja Slavika. Przybył do poselstwa z wizytą niemieckiego dyplomaty, którym okazał się sam ambasador von Moltke, poseł Slavik odprawił krótko: „Żałuję bardzo, panie ambasadorze, ale nie mogę pana przyjąć, dopóki niemiecki żołnierz znajduje się na ziemi czechosłowackiej. Republika Czechosłowacka istnieje „de jure”, jak to stwierdziły już niektóre wielkie mocarstwa, i nie mogę pana oddać ani gmachu, ani inwentarza”.

Do Warszawy, w połowie kwietnia, przybywa z Londynu mjr dypl. Bartík — szef czechosłowackiego kontrwywiadu z zadaniem nawiązania wojskowej i wywiadowczej współpracy z Polską, współdziałania skierowanego przeciwko hitlerowskiemu Niemcom. Spotyka się z płk. dypl. Smoleńskim — szefem II Oddziału Sztabu Głównego WP, któremu przedstawia propozycje. M. in. dyskutowana jest sprawa zor-

ganizowania czechosłowackiego legionu w Polsce. Przedstawione propozycje rozważa szef Sztabu Głównego — J. Stachiewicz. General akceptuje je tylko częściowo i pod warunkiem zachowania maksymalnej dyskrecji. Ta „delikatna sprawa niesienia pomocy powierzona zostaje doświadczonemu oficerowi — mjr dypl. Tadeuszowi Szumowskiemu¹⁾, szefowi Samodzielnego Referatu „Z” w Oddziale II Sztabu Głównego, który odpowiedzialny jest za wywiad strategiczny na Niemcy.

Tymczasem wśród krakowskiego ośrodka emigracyjnego coraz żywiej dyskutuje się o potrzebie tworzenia regularnych czechosłowackich jednostek wojskowych na ziemiach polskich. Inicjatywy te zbiegają się ze staraniami podjętymi w Warszawie. W owym czasie mjr Szumowski i czechosłowacki attache wojskowy — ppłk dypl. Prokop Kumpost wraz ze swoim zastępcą mjr Ficzerem i charge d'affaires dr

Kral. Miejsmem ich pobytu staje się stary dom, położony w samym sercu Krakowa, w Rynku Głównym pod nr 28.

Prasa i radio poświęcają coraz więcej uwagi sprawie czechosłowackiej. M. in. dziennik krakowski IKC zamieszcza list otrzymany z konsulatu zaopatrując go tytułem: „Obrona Polski — obrona Czechosłowacji” i podtytułem — „Ofiarowując 500 zł na FOL, — deklarują Czesi gotowość złożenia daniny krwi za wolność Polski i oswobodzenie swego narodu”.

W życiu krakowskiego zgrupowania wojskowego następuje ważne wydarzenie o przełomowym znaczeniu nie tylko szybkiego zorganizowania czechosłowackiej jednostki wojskowej. Momentem tym jest przybycie do Krakowa ppłk Ludvika Svobody, który przed zagarnięciem Czechosłowacji przez Hitlera był dowódcą batalionu 3 pułku piechoty im. Jana Žižki w Kromieryżu. Po rozmowach w konsulacie i zetknięciu się z przedstawicielami miejscowego społeczeństwa Svoboda wstępuje w szeregi zgrupowania i obejmuje nad nim dowództwo.

Wkrótce w krakowskiej jednostce, stacjonującej już w Bronowicach Małych, zjawia się liczna grupa słowackich żołnierzy. Przy progu ją spod Jasła podoficer „słowackiego państwa” — Karol Czaplari. O formowaniu czechosłowackiej jednostki dowiedział się on od niemieckiego antyfaszysty. Przed frontem całej jednostki raport od elewa Czaplari przyjął jej dowódca — ppłk Svoboda.

U progu wojny, 30 sierpnia 1939 roku, spod krakowskiej stacji Mydlniki czechosłowacka jednostka wojskowa licząca około jednego tysiąca szeregowców, podoficerów, oficerów jeszcze nie umundurowanych wyrusza pociągiem na Wschód²⁾. Skierowuje się do Leśnej w rejonie Baranowic³⁾.

Zgodnie z rozkazem Ministerstwa Spraw Wojskowych z dnia 20 sierpnia zostaje utworzony w Leśnej obóz ochotników czechosłowackich wechodzący w skład Wojska Polskiego.

Komendantem obozu i garnizonu mianowany zostaje ppłk artylerii Karol Zborowski, zastępca dowódcy 8 pułku artylerii ciężkiej. Płk Zborowski urodził się w Krośnie. Ojciec jego pracował w Rafinerii. W Krośnie też Zborowski kończył szkołę powszechną i Seminarium Nauczycielskie, a Szkołę Oficerską w Bratysławie. Władł wieloma językami obcymi, m. in. słowackim i czeskim. W latach dwudziestych przebywał z polską misją wojskową w Paryżu. Był świetnym dowódcą i wychowawcą żołnierzy, znał czeski i słowacki przyjaciel, toteż jego wybór na dowódcę obozu ochotników czechosłowackich nie był przypadkowy.

Do komendy obozu przydział otrzymał także mjr piechoty Henryk Smotrecki — oficer 34 pułku piechoty. Dowódcą DOK IX w Brześciu nad Bugiem — gen. Franciszek Kleeberg osobiście czuwał nad odpowiednim przygotowaniem obozu ćwiczeń dla przyszłej dywizji czechosłowackiego wojska.

Gdy krakowski pociąg wojskowy zatrzymał się na stacji Leśna było wczesne rano, piątek — 1 września. Wojna...

3 września zostaje opublikowany akt, spóźniony dla efektywnego działania, lecz o dużej doniosłości moralnej — dekret



Gen. armii Ludvík Svoboda

prezydenta RP oficjalnie proklamujący powstanie Legionu Czechów i Słowaków w Polsce. Z Leśnej telegraficznie podziękowanie kieruje do prezydenta RP Ignacego Mościckiego ppłk Svoboda.

Od pierwszego dnia legion w obozie intensywnie przygotowuje się do walk, szkoli się w zakresie działań piechoty, artylerii i innych rodzajów broni.

11 września Legion — zgodnie z rozkazem skierowany zostaje do Lwowa, a 13 dociera nad Seret w rejonie Tarnopola. Razem z Legionem jest ppłk Zborowski z oddziałem polskich żołnierzy. W obronie Tarnopola oraz wsi i małej stacji kolejowej Hluboczek Wielki dochodzi do pierwszego starcia czechosłowackich pododdziałów broni ciężkiej z hitlerowskimi wojskami kampanii wrześniowej. Czechosłowacy strącają dwa hitlerowskie samoloty. Ponoszą też własne straty w zabitych i rannych.

Jest 17 września. Kampania wrześniowa dobiega końca, w której po raz pierwszy wziął udział czechosłowacki żołnierz u boku polskiej armii.

Pod Tarnopolem dwaj wrześniowi towarzysze broni i przyjaciele — ppłk Svoboda⁴⁾ i ppłk Zborowski odbywają ostatnie służbowe spotkanie. Podpisują dokument rozwiązania „stosunku zależności pomiędzy Legionem Czechów i Słowaków a Wojskiem Polskim”. Oddział polski udaje się na południe, na Węgry. Legion Svobody, do którego tutaj dołącza reszta żołnierzy grupy krakowskiej, pozostaje w Horodyszczach. W Horodyszczach żołnierze Legionu spotykają się z Armią Radziecką, z którą w 1944 roku wracają przez Polskę na czele 1 Korpusu Czechosłowackiego.

Po wojnie w roku 1946, ppłk Karol Zborowski⁵⁾ jako szef Sztabu Inspektoratu Artylerii ludowego Wojska Polskiego DOW Lublin, w raporcie do Ministerstwa Obrony Narodowej, napisał:

„Legion czesko-słowacki zorganizował się w Polsce do walki o Polskę przeciwko wspólnemu wrogowi. Nie umundurowany i nie uzbrojony spełniał wszystkie rozkazy polskich przełożonych, był karny i zdyscyplinowany. Legion ten brał udział w walce o tyle, o ile pozwalało mu otrzymywane od władz polskich uzbrojenie, jeżeli nie mógł być po ważniej zaangażowany nie jest jego winą. Celem zadokumentowania, że władze podjęły odpowiednie postępowanie jednostek angażujących się do walki ze wspólnym wrogiem i celem zacieśnienia przyjaźni obu narodów jako polski dowódca Legionu Czechów i Słowaków stawiam wnioszek: odznaczenia generała Ludvika Svobody, dowódcy legionu sformowanego w Polsce i walczące-

go u boku oddziałów polskich, orderem polskim”.

Prof. dr Henryk Batowski, wykładowca najnowszej historii powszechnej w UJ, wybitny znawca stosunków polsko-czechosłowackich, świadek i aktywny uczestnik tworzenia się pierwszych oddziałów wojskowych Czechów i Słowaków w Krakowie mówi:

„Chociaż Legionowi Czechów i Słowaków nie było dane odegrać większej roli wojskowej, to jednak sama jego obecność u boku polskiej armii w 1939 roku miała i ma ogromne znaczenie moralne i polityczne”.

General-pułkownik Miroslav Smoldas — generalny Inspektor Czechosłowackiej Armii Ludowej, dowódca pododdziału w Legionie:

„W swej pamięci zachowałem serdeczny stosunek, koleżeńską więź i zrozumienie wojskowej współpracy polskiego komendanta garnizonu — ppłk Zborowskiego, mjr Smotreckiego i innych Polaków będących z nami. Czynili dla nas wszystko co mogli w tym ciężkim i dla nich okresie. Otrzymaliśmy też uzbrojenie, ale jeszcze nie wystarczyło dla wszystkich. Wybuch wojny uniemożliwił nam otrzymanie zamówionego dla nas umundurowania. Między Lwowem a Tarnopolem udało się nam dość dobrze dobrać. Mielśmy niemało broni, zwłaszcza maszynowej. Broń ta pozwoliła nam uczestniczyć w walce. Wysoko sobie cenimy, że przypadło nam w udziale do samego końca wspólnie dzielić z Polakami los wojny”.

Taka jest karta polsko-czechosłowackiego braterstwa broni z 1939 roku.

ZDZISŁAW CIESIOŁKIEWICZ



Podpułkownik Karol Zborowski

Zedtvitzem (poseł Slavik przebywa za granicą) podejmują konkretne kroki w celu zorganizowania czechosłowackiego związku wojskowego.

30 kwietnia 1939 roku, w siedzibie konsulatu w Krakowie, przy ul. Potockiego nr 8 (obecnie Westerplatte) odbywa się zebranie wojskowych emigrantów. Konstytuuje się Wojskowa Skupina — pierwsza czechosłowacka jednostka wojskowa za granicą, której dowódcą zostaje pilot wojskowy — nadporucznik Jirži

1) Za polsko-czechosłowacką współpracę wojskową mjr T. Szumowski odznaczony został przez prezydenta E. Benesza komandorią Orderu Białego Lwa.

2) Z Polski statkami „Batory”, „Sobieski”, „Warszawa” i in. przetranszowano około 600 lotników i 1500 specjalistów różnych rodzajów broni na Zachód. Ewakuowani żołnierze wcielani byli do francuskiej Legii Cudzoziemskiej, a potem stanowili we Francji trzon dwóch pułków, które brały udział w walkach z Niemcami nad Marną i Losrą. Lotnicy służyli we francuskim lotnictwie, część zaś już wcześniej trafiła do RAF-u Wielkiej Brytanii.

3) Za obronę Tarnopola ppłk Svoboda został odznaczony Krzyżem Walecznych przez gen. Władysława Sikorskiego wodza naczelnego i premiera rządu RP, Polska Rzeczpospolita w r. 1947 ułonorowała gen. Svobodę Krzyżem Virtuti Militari I klasy „za zwycięską wojnę”.

4) Zmarł w 1961 r. w Warszawie.

Krystyna Swierczewska

ZE ŚMIECHU POWSTAŁ...

A śmiać się bardzo zdrowo — powie ów jovialis — Jowialski i wyciągnie z zanadru bajkę lub przysłowie, przemyślnie dopasuje do sytuacji, sygnie prawdą w oczy, ukłuje, ale tak, że nie dostrzeżesz w tym jaku, że wszystko złagodzi dobroduszość. I żeby już nie było żadnych podejrzeń co do jego natury zaraz doda: „Lepiej mi kawałek chleba smakuje, kiedy go z kim dzieli”. Nie pyta więc podróżnych o paszporta, o jakość kondycji, majątność — gość w dom — Bóg w dom i... nowa para uszu do słuchania. Z przyzwyczajenia rzuca swoje — „znacie?” „znamy” — odpowiadają najczęściej, ale Pan Jowialski traktuje i pytanie, i odpowiedź zgoła retorycznie. Pośród sielskiej głupoty żyjąc, z pobłażaniem wygłasza króciutkie monologi, w których nie dojrzy ni pasji pedagoga, ni srogości mentora; bystry obserwator raczej ukaże zniechęca swe oblicze, by zaraz zresztą skryć je w skórę li tylko żarliwego zbieracza, gwoli czystej uciezce gromadzącego swe bajki, przypowiadki i przysłowia. Przeto gość w domu, rozbrojony, wyzna, iż „każdy zmarszczek u niego powiada, że ze śmiechu powstał!”.

Tak i na śmiechu dobrodusznym, przyprawionym za ledwie leciutką kpina zbudował swojego jovialisa Stefan Winter w rzeszowskim przedstawieniu „Pana Jowialskiego” — czyli arcydziele hrabiego Aleksandra Fredry, napisanym dwa lata po klęsce listopadowej i ocenianym nader często z uwzględnieniem tej daty. Ocena taka wydaje mi się pasować do tych, którzy — jak to powiedział jeden z krytyków — bohaterem fredrowskim dorabiali ogromne nosy. Narodowe. Zapominając przy tym, że narodowość Fredry, to przede wszystkim styl i język. Takim „nosem” była niegdyśjsza inscenizacja „Zemsty” przez Osterwę, kiedy to Cześnik dzień zaczynał modlitwą przed ołtarzem, takim — w przypadku „Jowialskiego” — nazywanie go krwawą satyrą na głupotę szlachty, która doprowadziła do listopadowej klęski. Ze zaś zanotowano na lwowskim przedstawieniu owo słynne, odautorskie „z czego się oni śmieją”, kiedy rozbawiona publiczność szalała, a autor wyszedł wyraźnie rozłoszczony, po czym wyznał, że wcale nie umieją grać tej komedii — więc mit krytyki miał wcale realną podstawę. Rzecz zaś polegała prawdopodobnie na rzeczywistym partaczeniu aktorskim, czego żaden autor od czasów Fredry po dzień dzisiejszy znieść nie jest w stanie. Tyle historia. I Boże broń, bym na świadków, jak grać należy „Jowialskiego”, brać miała Kucharskich, Tarnowskich, Pigoniów i Wyków, pośród których Boy zamącił, obrachowawszy się wprzód z wcześniejszymi dwoma, a dwom późniejszym — podpowiadając, co jest bzdurą i narodowym nosem.

Czytając dziś to arcydzieło, przysięgnąć skoram, że o chłopczech satyrze galicyjski hrabia ani myślał, że modelując zmarszczki jovialisa chciał, sam nimi rozbawiony. Tu bym więc amen położyła pod historią, gdyby... gdyby i mnie samą nęcił nie zaczęła koncepcja wprawdzie daleka nosom, ale nosem węższą za

zgrzytliwą ironią, może przeciw zamysłowi autorskiemu budowaną, ale zgodnie z nowym spojrzeniem na Fredrę, które po „Zemście” wrocławskiej wzbogaciły nieznanne dotychczas możliwości teatru. W pokorze wyznaję, że to przecucie za ledwie, ale gdyby kto spróbował kiedy je sprawdzić — może by prawdę w wyniku uzyskał? Ludziom zafascy-



Scena z „Pana Jowialskiego”. Na zdjęciu: Helena — Barbara Koziańska i Szambelan — Zdzisław Kozień. Fot. M. MYSZKOWSKI

nowanym teatrem zresztą wiele wybaczyć należy.

Ale dość — i wróćmy do rzeszowskiego domu Jowialskich, który to dom pokazał nam reżyser Stefan Winter i jak już powiedziałam, odtwórca roli tytułowej. Jak pokazał? Ano według przepisu Aleksandra Fredry, który ustami Ludmira napisał w sztuce także najkrótszą recenzję sztuki. Bo oto co mówi o stądki obsiadającym dworek jovialisa:

„...Jowialski ów klejnot, Jowialski — cień jego — para doskonała, jak tych papug, które zowią les inseparables; Szambelanowa, niegdy jenerałowa, z przekreśloną francuszczyzną, ale najrozsądniejsza, Szambelan, ta nula, ten próżny pęcherz w peruce, Janusz z intrat rozumny, Helena w eterze krążąca...”

Starczy to zapewne, by wiedzieć, z kim mamy do czynienia.

Były w tym spektaklu trzy role zagrane znakomicie: Stefana Wintera — Pan Jowialski właśnie, Zdzisława Kozień — Szambelan i Jadwiga Wysockiej — Szambelanowa. Osadzone w klimacie, w zgodzie z realiami, podawały ów język najwspanialszy, jaki usłyszeć można tylko u Fredry, czysto, rytmicznie, z nieodpartym komizmem. Gdy byli na scenie — działy się rzeczy śliczne i wesołe; gdy ich brakowało — robiło się mniej

ślicznie, choć czasem równie wesoło. Bo Fredro jest ponad aktora, uniesie aktora, wyzwala temperament. Pani Jowialska Zofia Gorczyńskiej nieczym obrazek wdzięczna w swej starości dopełniała jovialisa i była jak należy pastelowym cieniem; wyraźnie wszak powiedziane, że pięćdziesiąt jeden lat tych figli nie zabiło afektu. Ale Helena — „ta górnołotnym stylem prosząca nawet o szklanek wody”? Barbara Koziańska wyglądała miło i dykcją nienaganną Fredrę podawała; czemuż jednak tak monotonię tę postać znalazłam? Czy to, że tekst sam mnie znużył, czy też kandydaci na epuzerów przylguszali swadą i tyradami, czy reżysera winić, że tyrad nie ukrócił, czy na koniec Barbarę Koziańską w roli nie zagustowała i Fredry nie czuje?

Zresztą o to ostatnie także zapytałabym Tadeusza Ole-

wać. W tym jego wielkość; w tym jego słabość. Naturalnie te ostatnie przemysłowości reżyserskiej pozostawiono.

A co było dobre, tak dobre, że polecam zabawę na „Jowialskim” z czystym sumieniem? Ów znakomity akt II oraz finał, skrzzące się dowcipem, dynamiką, w których nie znajdziesz cienia rozbratu między sceną a widownią, w których najpierw aktor się bawi, a później widz mu wtóruje w zabawie; świetne — powtarzam — aktorstwo Wintera, zdumiewająca dyscyplina dwóch ról skłonnych do szarzy, której w rzeszowskim spektaklu ani uświadczysz: to właśnie Jadwiga Wysocka z swoją, pozał się Boże francuszczyzną, podawaną jak trzeba, to znaczy z owym sztywnym, nieudawanym akcentem pierwszoklasistki oraz Kozień — niezawodny Kozień, który hoduje swe ptaszki, jest kuk-

STRZY- ŻOWSKI AWANS

Góra Żarnowska wyraźnie dominuje w paśmie Pogórza Strzyżowsko - Dynowskiego. Z jej szczytu rozciąga się rozległy widok na kotłinę Wisłoka. Panorama Strzyżowa widoczna jest jak na dłoni. Stąd zaobserwować można dokładnie zmiany następujące w krajobrazie miasta. Widomą ich oznaką są hale wytwórcze fabryki mebli. Stanowi ona przedmiot nieukrywanej dumy strzyżowian.

I rzeczywiście mają z czego być dumni i radzi. To przecież pierwszy zakład przemysłu kluczowego, który ruszył w przeddzień Święta Odrodzenia i swoimi wyrobami już rozstawia ich miasto. Ba, nie tylko o rozgłos imienia grodu chodzi, ale przede wszystkim o setki stanowisk pracy, powstałe przy nowoczesnych maszynach dla młodzieży i starszych.

Ta inwestycja przekazana do użytku na progu 15-lecia istnienia powiatu urosła nad Wisłokiem do rangi szczęśliwego symbolu zwiastującego „tuste” lata całemu regionowi. Wkrótce po przecięciu symbolicznej wstęgi na bramie SFM położono kamień węgielny pod budowę nowego zakładu — oddziału satelitarnego Huty „Stalowa Wola”. Oznacza to wkroczenie produkującej gałęzi przemysłu. Z nią właśnie łączy się największe nadzieje na szybka aktywizację gospodarstwa. Nadzieje te nie są ponne. Chociaż mury pierwszej hali niewysoko wyrosły od ziemi, zapadła już decyzja o budowie następnej. Betoniarce oraz inne maszyny i urządzenia płynąć będą stąd szeregiem struga. A prace i zarobek otrzyma znacznie więcej strzyżowian.

Ten do niedawna wybitnie potnia powiat coraz szybciej zmienia swój charakter, następują widoczne na każdym kroku przemiany, nie ominęły one struktury społecznej. Miara postępującego awansu ziemi strzyżowskiej jest zatrudnienie poza rolnictwem ośmiu tysięcy osób. Dla porównania warto podać, że przed wojną liczba ta była sześciokrotnie mniejsza.

Podobne przeobrażenia dokonały się w innych dziedzinach życia. Szczególnie zaś na polu rozwoju i upowszechnienia kultury. Wyzwoliła się tu szeroko społeczna inicjatywa ludności, która nie skąpi swoich sił, by zapewnić sobie możliwości do korzystania z dóbr kultury. Wiejskie domy kultury rosną jak przysłowiowe grzyby po deszczu. Markuszowa, Widacz, Kozłówek, Lubla, Czudec i Gbiska to nazwy tylko niektórych miejscowości, gdzie w ostatnim okresie placówki takie otwarły podwoje.

Przedsiębiorczość i gospodarność przyniosły bogaty plon w mieście powiatowym. Dużo zaobserwować od Strzyżowa miasta mogą pozazdrościć warunków, jakie stworzono Powiatowej i Miejskiej Bibliotece Publicznej czy PDK. Bynajmniej nie pociągają to za sobą krociowych wydatków z państwowej kasy.

Mierzenie „siły na zamiary” aktywizuje szerokie kręgi społeczności do różnorodnych poczynań, wyzwala twórcze inicjatywy. Nic też dziwnego, że wyniki są imponujące. Już w bieżącym roku tyraliery słupów elektrycznych dotra do ostatnich osiedli dotychczas nie korzystających z energii elektrycznej, co trzeci kilometr dróg lokalnych zbudowany został rękami strzyżowian, młodzież 35 miejscowości zdobywa wiedzę w nowo zbudowanych lub rozbudowanych budynkach.

(Ciąg dalszy na str. 5)

lą w peruce, ale w jakiś, jemu tylko wiadomy sposób, ocala całe ciepło postaci, jej przeraźliwą głupotę oprócznia dobroduszością.

Partneruje spektaklowi scenografia Wojciecha Krakowskiego, nieco szokująca ascezą w pierwszych scenach aktu I, by zaraz przekreślić tę ascezę barwnością kostiumów w akcie II. W sumie — bawiłam się, mimo pretensje, znakomicie, zapewne dlatego, że Fredro znalazł w Winterze smakosza właśnie jego soczystego, wspaniałego języka; że cały wysiłek reżyserski skoncentrował się na czystości podania tekstu, że widak w tym przedstawieniu kolosalną pracę reżysera z aktorami. Przy Fredrze jest to wysiłek tyleż konieczny, co dający asumpt do pochwał.

Teatr im. W. Siemaszkowej. Aleksander Fredro — „Pan Jowialski”. Reżyseria: Stefan Winter. Scenografia: Wojciech Krakowski. Asyst. reżysera: Wincenty Zawirski. Osoby: Pan Jowialski — Stefan Winter, Pani Jowialska — Zofia Gorczyńska, Szambelan — Zdzisław Kozień, Szambelanowa — Jadwiga Wysocka, Helena — Barbara Koziańska, Janusz — Wincenty Zawirski, Ludmir — Tadeusz Olesiński, Wiktor — Tadeusz Czarnowski, Lokaj... Premiera 27 września 1969 r.

Henryk Pasławski, Lubomir Radłowski

Z WIZYTĄ WŚRÓD ZACHODNIEBERLIŃSKIEJ POLONII

Berlin zachodni. Ilek dymy-
słów, nieścisłych informacji, ba
nawet plotek krąży na temat te-
go bądź co bądź niecodziennego
zjawiska, jakim jest Berlin za-
chodni. W wyniku pogwałcenia
układów poczdamskich przez a-
liantów zachodnich, wydzielona
część miasta z obszaru Wielkie-
go Berlina nosząca nazwę Berlin
zachodni, to miasto o obszarze
480 km kwadratowych, o ustroju

A oto co mówi na ten temat
p. Jan Wache prezes Zjednocze-
nia Polaków — największej or-
ganizacji Polonii zachodniobe-
rlińskiej:

„Przed pierwszą i drugą woj-
ną światową berlińska Polonia
była nie tylko liczna, ale także
doskonale zorganizowana poli-
tycznie, kulturalnie i zawodo-
wo. Prócz organizacji Towarzy-
stwo Polskie, Towarzystwo Mło-
dzieży Polskiej, mieliśmy kilka-
dziesiąt związków rzemieślni-
czych, takich jak Towarzystwo
Krawców Polskich, Szwerców
Polskich, Kupców Polskich itp.
Działał też wtedy Bank Polski.
Pod opieką Polaków rozwijały
się inne organizacje słowiań-
skie”.

Różnie ułożyły się losy Pola-
ków w Berlinie w ostatnim
półwieczu. Po zakończeniu pierw-
szej wojny światowej większość
Polaków z Berlina wróciła do
Polski. Ci zaś, którzy pozostali,
przeżyli piekło hitlerowskich
prześladowań. Wielu z nich zna-
lazło się za drutami obozów kon-
centracyjnych, wielu musiało słu-
żyć w zniechęconym Wehr-
machcie, tysiące zostało zame-
czonych w katowniach hitlerow-
skich.

Po upadku brunatnej Rzeszy
wielu spośród tych, którzy prze-
żyli powróciło do kraju. Pozo-
stała nieliczna garstka starej
emigracji zasilona znowu tymi,
którzy z różnych względów po
drugiej wojnie światowej do Pol-
ski nie wrócili.

Dziś Polonia zachodniobe-
rlińska liczy kilka tysięcy rodzin,
z tego ponad dwa tysiące osób zor-
ganizowanych jest w stowarzy-
szeniach polonijnych. Największą
organizacją jest Zjednoczenie
Polaków, któremu przewodniczą
p. Jan Wache i p. Edward Ol-
kiewicz. Sporą liczbą członków
legitymują się Oddziały Związ-
ku Polaków w Niemczech działa-
jące w dzielnicy Charlottenburg



Fot. H. PASŁAWSKI

wielki dzień. Nadszedł. Pocze-
niwy „Leyland” (miał wstrętne na-
wiasem mówiąc, który nas ułóki
z Polski kilkanaście godzin), do-
starcza nas pod olbrzymi lokal.
Kilka sal restauracyjnych, ba-
rów i wreszcie nasze miejsce. Og-
romna sala zastawiona stolika-
mi sześć lub więcej osobowy-
mi, w środku taneczny krąg i
scena.

Na sali około tysiąca osób w
różnym wieku. Przewaga, duża
przewaga uczestników dość daw-
no weszła w wiek zwany potocz-
nie dojrzałym.

Kurtyna. Scena pięknie udeko-

kilka razy przerywany oklaska-
mi, każda piosenka nagradzana.
A klaskać trudno. Trzeba co
chwilę ocierać łzy. Placzą nie
tylko kobiety. Mężczyźni, zahar-
towani walką o utrzymanie się
na powierzchni życia też polską
lżę ocierają.

Podziwiają przecież kawalek
ojczyzny, przypominają młodość.
Zapamiętana z dzieciństwa melo-
dia, łączące się z nią wspomnie-
nia. Ojczyzna.

Po nas występuje chór Związ-
ku Polaków w Berlinie zachod-
nim. Śpiewa m. in. „Oko” i „U-
kochaną ziemię”... Potem wystę-

puje przybyły z NRF polonijny
zespół „Orzeł Biały”. Prezentuje
niezły poziom. Poznają niektóre
twarze (a w NRF nigdy nie by-
łem). Tak! To uczestnicy nasze-
go spotkania w Rzeszowie. U-
czestnicy I Światowego Festi-
walu Zespołów Polonijnych, jaki
odbył się w lipcu w Rzeszowie.
Wielka owacja, podobna jak dla
zespołu Wojewódzkiego Domu
Kultury, i dla „Orla Białego”.

Wzruszenie dosięgło punktu
kulminacyjnego, gdy zespół nasz
zaintonował „Polonię”. Tak peł-
ną pierś, tak głośno, nigdy je-
szcze nie śpiewaliśmy. O ściany,
o sufit rozlegał się śpiew: Marsz,
Marsz Polonio! nasz dzielny na-
rodzie, odpocznijemy po swych
trudach w ojczyźnie zagrodzie.
Sala wysłuchała „Polonii” na
stołce.

Polonia to mowa. Gorączkowe
pytania. Warszawa odbudowana?
A ja jestem z Kalisza. Ja spod
Łodzi. A ja z Rzeszowa. Krzyżu-
ją się informacje, wymiana po-
glądów. Nieraz trudno zrozumieć
zapytanie, boć język polski nie-
łatwy, a jak się nim długo nie
włada... Dopiero teraz rozumiem
w pełni słowa I sekretarza Pol-
skiej Misji Wojskowej mgr Ta-
deusza Szadkowskiego, który po-
wiedział nam, że w Berlinie za-
chodnim chyba nikt nie prenu-
meruje polskich gazet, nie ma
ani jednej szkoły polskiej, ani
jednej biblioteki, ani jednej pol-
skiej czytelnicy. Polacy spotykają



kapitalistycznym, leżąca w cen-
trum Niemieckiej Republiki De-
mokratycznej.

Ale nie o Berlinie zachodnim,
o jego statusie politycznym i
strukturze gospodarczej chcemy
pisać. W publikacji tej chcemy
scharakteryzować problem nam
bliski, dotychczas bardzo mało u
nas poruszany, sprawę Polonii
zachodniobe-rlińskiej.

A więc co wiemy o tej Polonii,
która zamieszkuje to dziwne
miasto — dźwigające na sobie
piętno prusactwa i germańskiego
„Drang nach Osten”. Mur gra-
niczny, który oddziela Berlin za-
chodni od Berlina — stolicy
NRD, wpływa również na spe-
cyfikę rozwoju i działania or-
ganizacji polonijnych w Berlinie
zachodnim.

Z dokumentów archiwalnych
wiemy, że niegdyś, a konkretnie
na początku XX wieku tuż przed
I wojną światową, w Berlinie
zamieszkiwało ponad 100 tysięcy
Polaków. Tak pokaźna liczba
Polaków w samym sercu prus-
kiego imperium była wynikiem
solidarności i prężności organi-
zacyjnej ludności polskiej, któ-
ra dyskryminowana, deportowa-
na i wysiedlana z Wielkopolski,
Pomorza, Śląska dążyła do osie-
dlenia się w większych skupis-
kach w celu samoobrony przed
wynaradawianiem i germaniza-
cją. Stąd wielotysięczne śród-
owiska w Nadrenii i Westfalii, w
Berlinie a także w prawie całko-
wicie zgermanizowanym Wrocławiu.

i Neukölln, a nazwiska takich
działaczy jak Edward DuRie-
wicz, Józef Kula, Janina Adam
znane są szeroko Polonii w Ber-
linie zachodnim.

Dziś Polonia zachodniobe-
rlińska dąży do jednolitego działa-
nia, organizuje wspólne, patrio-
tyczne imprezy. Utrzymuje bli-
skie kontakty z Krajem. Świad-
czy na rzecz akcji społecznych,
jak: Budowa szkół Tysiąclecia,
Fundusz Olimpijski, Budowa
Centrum Zdrowia Dziecka itp.

Ostatnią, wspaniałą patriotycz-
ną imprezą było uroczyste zgro-
madzenie Polonii zachodniobe-
rlińskiej dla uczczenia Jubileuszu
25-lecia PRL.

* * *

Kursfuerstendam 100. Hotel
Thober. Nasz punkt postoju. Na
piątym piętrze w dwuosobowym
pokoju nas dwóch, wyżej imie-
niem i nazwiskiem podpisanych i
jeszcze dwóch panów w męskim
wieku. Jesteśmy w Berlinie za-
chodnim gośćmi tamtejszej Pol-
onii. Przybyliśmy na czele, a ra-
czej na przedzie (myślę o mie-
scu w autobusie) Zespołu Pieśni
i Tańca Wojewódzkiego Domu
Kultury w Rzeszowie, do naszych
rodaków. Przywieźliśmy naszym
gospodarzom, zachodniobe-
rlińskiej Polonii garść polskiej mu-
zyki, polskiego tańca, polskiego
słowa.

Jesteśmy w hotelu. Dziś tylko
kolacja, rzut oka na Berlin za-
chodni „by night”, a jutro nasz

rowana biało-czerwonymi flaga-
mi, nasz polski ludowy orzeł, na-
pis, który głosi, że oczymy dziś
25-lecie Polski Ludowej. Wzru-
szenie ścisła gardło. Zapomina-
my, że ci najmłodszy uczestnicy
tej akademii łatwiej wladają je-
zykiem niemieckim niż ojczy-
stym, bo oto w samym centrum
Berlina zachodniego padają pol-
skie słowa. Piękne słowa. Odda-
ją szacunek i cześć tym, którzy
walczyli w tragicznym wrześniu,
walczyli na wszystkich frontach
drugiej wojny światowej, wal-
czyli w kraju z tymi, w legowis-
ku których znajdujemy się.
Piękne słowa kreślą dorobek na-
szej Polski, jej sukcesy gospo-
darcze, kulturalne. Huragan ok-
lasków przerywa co chwilę
aplauzem referat, który wygła-
sza prezes zachodniobe-rlińskiej
Polonii p. Wache. Takie same ok-
laski spotykają dalszych mów-
ców. Potem kolej na nasz ze-
spół. „WuDeK” zaprawiony w
bojach kulturalnych, mający
święto w pamięci trzytygodnio-
wą podróż po Europie, opromie-
niony pierwszą nagrodą zdobytą
w Montrejean we Francji, polo-
nezem wita zebranych. Potem
tańce rzeszowskie. Cała suita.
Potem w strojach Księstwa War-
szawskiego siarczysty mazur,
poprzedzony posuwistym polone-
zem, potem dalsza mozaika lu-
dowych strojów. Kujawiaki, o-
berki, krakowiaki. Na góralskie
guź czasu i sił nie stało. Poma-
gał soliści. Płynęły polskie pio-
senki i melodie. Każdy taniec

Listy DO PRZYJACIELA

Na pewnym spotkaniu z czy-
telnikami padł pod adresem
dziennikarzy mojej gazety po-
stulat — róbcie coś, panowie,
żeby skończyć z tą łaciną, której
pełno na ulicach i która obraża
uszy, boli, przeraża.

Drogi Mój, Kocham takie ape-
le — róbcie coś oraz bardzo to
coś chcecie robić. Bo w ogóle do-
brze jest coś robić na zamówie-
nie społeczne; żeby ludziom by-
ło raźniej, lepiej i żeby w ogóle
jakiś kawalek zła wyrzucić na
śmietnik. Ale cóż ja mogę tu
robić? Czy wyobrażasz sobie tak-
łą sytuację: idzie przede mną
młody człowiek, który zwykle,
wrodzone nam niechlujstwo je-
zykowe typu „powiedzmy”,
„więc”, „prawda”, „panie tego”
postanowił zamienić na łacińską
krzywą, który, w dociekliwości
o czystość pochodzenia kumpla,
ot, tak sobie poza tym, rzuca z
kogo on syn, albo kto jego mat-
ka i co już mnie zupełnie z nóg
zwała — mówi, że za chwilę
będzie i świat i dziewczynę pod-

sumowywał w działaniu — czy
wtedy, ja mam podejść do owe-
go krzykacza i powiedzieć: z
miłości dla ludzi oraz języka —
zaprzestań! Przecież się boję;
przecież wstyd poraża moje
działanie w zarodku; przecież
on może, w każdym razie ma
możliwość, zrobić mnie w kon-
nia, mnie w łacińską krzywą,
sięgnąć po mój rodowód, ok-
kreślić moje pochodzenie!

Widziałam taki film, bodajże
gruziński, gdzie w autobusie po-
wstała sytuacja terroru: rozwa-
lona na siedzeniu święta krowa,
albo raczej święty wieprz wy-
miał kogo się dano, a oni,
biedni, usuwali się skrętnie,
przechrzuwając, że za wymysłami
pójdą rękoczynny. Gdy sytuacja
osiągnęła punkt kulminacyjny,
to znaczy nie było pozornie ani
jednego niesterroryzowanego —
potężna kobieta nagle wstała, do
świętego wieprza podeszła, wy-
rznąła go w przeżyjącą papę,
rozkazała zatrzymać autobus i
w błoto, w deszcz padający za

się sporadycznie, w wynajętych salach restauracyjnych. Szkoda. Świetnie i szybko za to mowi po polsku kierownik „Białego Orła” p. Król. Opowiada z dumą: panowie, wszystkie stroje ja sam uszyłem. Probowałismy u krawca. A u nas nie jest tak jak w Ojczyźnie. Nam nikt nie da grosza dotacji. My wszystko ze składek. Z kieszeni prywatnej członków zespołu. Kupilem więc maszynę do szycia, taką nożną, nie nie elektryczną, droga. Najpierw szyłem tylko koszule. Potem trudniejsze rzeczy. A teraz, panie szanowny, to ja i parzenie na spodniach góralskich sam...”

Gratulujemy serdecznie takiego zaangażowania. Zespół z takim trudem przygotowany jeszcze bardziej zaczyna się nam podobać. I to nie jest tylko jedna (ta lepsza) jego połowa... Zresztą na sali powstaje masy ruch. Członkowie zespołów polonijnych ogłaszają, że sprzedają po jednej marce kartki pocztowe. Dochód przeznaczony na zakup strojów, materiałów, wynajem sal na próby. I to wszystko w kraju tak bogatym, tak ponoć wolnym... Wolno więc wynająć miejsce na próby, na występ.

Łączy nas dalej polska melodia. Tańczymy więc do upadłego. O jednym kieliszku wódki. Polskiej wyborowej. Jednym. Nie! To nie podlizywanie się komitetowi antyalkoholowemu. To fakt. A po drugie czeka nas rano bankiet, który na cześć zespołu Rzeszowa wydaje miejsce w Polonia.

Idziemy więc na bankiet. Odświętnie ubrani spotykamy się w tym samym co wczoraj budynku, też w wynajętym lokalu. Sala bankietowa jak zwykle. Jasnna, przestronna, duże stoły, mało stolików. I my. I telewizja. I nasi przyjaciele z misji wojskowej. I inne zespoły polonijne. Znowu przemówienia, podziękowania za piękny występ, za polskie słowo, którego tak brak na obczyźnie. Wysłuchaliśmy, zjedliśmy, wypiliśmy i dalej w pląsy. Oczywiście nasze zabawy. A więc chusteczka co ma cztery rogi, przy wyborze co ładniejszych i młodszych „polonijek” (nasze panny wolały jednak zdecydowanie „polonów” — zupełnie nie wiem dlaczego). Wspólnie śpiewamy „Szia dziewczeczka do laseczka” i inne. Coraz lepiej się wszyscy rozumiemy. Coraz łagodniej brzmi w ustach berliński język polski. Pierwsze niesmiatnie rozmowy o potrzebie Domu Polskiego, o ważności kontaktów, jedności działania. Zyczymy go Wam z całej duszy!

HENRYK PASŁAWSKI
LUBOMIR RADŁOWSKI

IDEALY I RZECZYWISTOŚĆ

W dyskusjach o moralności socjalistycznej nieraz usłyszeć można stwierdzenie: „Idealny moralny socjalizm są niewątpliwie wniosły i piękne. Humanizm socjalistyczny to program porównywalny. Rzeczywistość jednakże daleka jest od tych idealów. Czy nie są one zatem jedynie nieosiągalnym programem, nie dającym się nigdy urzeczywistnić?”

Nielatwo jest wyjaśnić ten problem — idzie tu bowiem w równym stopniu o stan rzeczy w naszym społeczeństwie, o jego źródła, jak i o zadania i perspektywy dalszej realizacji socjalistycznych idealów, tak w sferze obiektywnych warunków społecznych, jak i w sferze świadomości i postaw ludzi. Proces realizacji tych idealów jest oczywiście długotrwały i złożony. Trafnie ujął to Brecht w wierszu „Pochwała komunizmu”:

„Jest rozsądny, każdy go rozumie. Jest łatwy. (...) Jest rzeczą prostą, Którą trudno zrobić”

ZRÓDŁA KRYTYCYZMU

Sprzeczności okresu przejściowego znajdują w naszym społeczeństwie wyraz nie tylko w ekonomicznej, ale i w różnorodnych, stwarzających realne trudności ujemnych zjawiskach moralnych.

Czy wynika stąd, że uzasadnione są nastroje pesymizmu i rozczarowania, lansowane często twierdzenia o regresie moralnym w tym okresie tworzenia nowego społeczeństwa?

Twierdzenia takie formułuje się niekiedy w odniesieniu do pewnych jego części, na przykład młodzieży czy poszczególnych grup zawodowych. Rzymskie zawołanie: O tempora! O mores! O czasy! O obyczaje! rozlega się na naszych dyskusjach zbyt często i skłania do przyjrzenia się źródłom krytycyzmu wobec aktualnej sytuacji moralnej.

Krytycyzm ten ma różne przesłanki. Niekiedy są to przesłanki polityczne, czyli zwyczajnie wrogi stosunek do ustroju socjalistycznego. Twierdzenie o „kryzysie” moralnym bywa więc traktowane jako argument polityczny. Celem jego jest podważenie sensu i moralnej wartości przemian socjalistycznych, chociaż często kamuflowane jest

rzekomą troską o „humanistyczne oblicze” socjalizmu.

Od takiej jednostronnej krytyki z pozycji walki z socjalizmem, należy jednakże odróżnić zaniepokojenie i krytykę określonych zjawisk wynikające z rzeczywistego, głębokiego zaangażowania, z troski o socjalistyczne oblicze naszego społeczeństwa i dalszy jego rozwój. Nie można bowiem zaprzeczyć, że w życiu naszym występują zjawiska niezgodne z istotą socjalizmu, wnoszące zakłócenia i hamujące jego rozwój. O zjawiskach tych partia mówi otwarcie, piętnując je i poszukując dróg ich praktycznego przezwyciężenia. Niezbędne jest więc określenie zasięgu i charakteru tych zjawisk, wykrywanie ich źródeł, a przede wszystkim nie werbalna jedynie ich krytyka, „przy kawie”, lub w dyskusji przeznaczonej dla „spełnienia obywatelskiej powinności”, lecz konkretne przezwyciężenie ich społecznym wysiłkiem.

OBYWATELSKA WRAŻLIWOŚĆ

Należy tu dodać, że w naszym społeczeństwie niezwykle wyostrzona została wrażliwość moralna na wszelkie ujemne, sprzeczne z istotą ustroju zjawiska. Powoduje to, że zjawiska takie, kiedyś nie dostrzegane, lub uchodzące gdzie indziej za moralny składnik życia społecznego, są u nas źródłem ostrych reakcji moralnych, przedmiotem powszechnej krytyki.

Wspominajmy tu o pozostałościach nierówności ekonomicznych, o przejawach brutalności, braku bezinteresowności i naruszaniu godności człowieka we współżyciu ludzi czy o egoizmie, stawianiu własnego interesu nad interesem społecznym, dążeniu do niezaspokojonych korzyści itp. Zjawiska te zrodzone w warunkach własności prywatnej występują jeszcze i w naszym społeczeństwie, lecz wywołują tu powszechne potępienie, dalszy zaś rozwój socjalizmu słuszenie wiązany jest w odczuciu mas w równym stopniu z rozwojem ekonomicznym, co i przezwyciężaniem tych zjawisk. Wiąże się

to z przemianami socjalistycznymi i rozwojem socjalistycznej świadomości społecznej, wyrażającym się między innymi w odrzucaniu jednych i aprobacie innych zasad życia społecznego.

Niedawno w TV nadano audycję z pewnej wsi. W audycji uczestniczyli najstarsi i najmłodsi mieszkańcy tej wsi. Najstarsi mówili o czasach przedwojennych, o młodym dziedzicu, którego chłopci — bez względu na wiek — musieli całować w rękę. Dzieci nie umiały odpowiedzieć na pytania, co znaczą słowa: „karbowy” i „fornał”, a na pytanie, ile dziedzic mógł posiadać ziemi, odpowiadały: „dużo — może trzydzieści, może 50 hektarów”. Jest to właśnie jeden z niezliczonych przejawów przeobrażeń świadomości społecznej.

JEDNA Z DYSPROPORCJI

Jednakże w ten sposób pogłębia się zarazem rozpiętość między wyobrażeniem tego, „jak być powinno” w naszym ustroju, a świadomością tego, „jak jest”, między roszczeniami a realnym stanem rzeczy. Nie znaczy to, że ów „stan rzeczy” ulega regresowi, lecz że szybciej przyswojone zostały przez świadomość społeczną określone ideały, zwłaszcza gdy idzie o stosunki społeczne, niż zdołały ulec

zmianie same te stosunki. Na tym tle rodzą się też pełne oburzenia osądy poszczególnych zjawisk czy ludzi w rodzaju: „X” traktuje instytucję, którą kieruje jak prywatny folwark lub „Y” traktuje swych pracowników jak typowy „sanacyjny dygnitarz” itp.

Krytycyzm taki jest nie tylko wyrazem nowych oczekiwań i aspiracji moralnych. Może on także stać się realną siłą, przysparzającą dalszy rozwój naszego społeczeństwa, przewyższając istniejące jeszcze mankamenty naszego życia.

Wszelkie jednakże opinie, które nie uwzględniają realnych przemian socjalistycznych w naszym społeczeństwie, dają zniekształcony jego obraz, a przy tym osłabiają lub paraliżują wysiłki zmierzające do jego doskonalenia. Przemiany te zaś są widoczne zarówno w sferze obiektywnych warunków i stosunków społecznych — ocenianych moralnie (zmiana systemu własności i struktury klasowej społeczeństwa, demokratyzacja życia, stworzenie szerokich perspektyw rozwoju kraju itp.) jak i w sferze poglądów i postaw moralnych członków naszego społeczeństwa. W tej sferze wszakże tendencje przemian są najbardziej złożone i zróżnicowane.

Dr Mieczysław Michalik

STRZYŻÓWSKI AWANS (dok. ze str. 3)

Niektóre z tych ostatnich podniosły rangę powiatu, posiadającego dawniej tylko jedną szkołę średnią, ogólnokształcącą. Teraz dziewczęta i chłopcy z odległych wiosek uczą się również w Technikum Ekonomicznym w Strzyżowie i Liceum Ogólnokształcącym w Czudcu. Pierwsza i druga szkoła otrzymała własny gmach o słonecznych izbach lekcyjnych.

Dzięki temu powstało już dość liczne środowisko inteligencji pracującej, angażującej się coraz aktywniej w sferę życia społecznego i kulturalnego. To właśnie w inicjatywy nauczyciela miejscowego Liceum, popartej mrówczą pracą, wkrótce w Strzyżowie

otwarte zostanie muzeum regionalne. Podobnie rzecz się ma z wieloma imprezami, jak np. z inauguracyjnymi w dniu wczorajszym obchodami Dni Ziemi Strzyżowskiej. Wprawdzie tym razem imprez artystycznych nie będzie zbyt wiele (wystawa rysunków i prac rącznych młodzieży szkolnej, przegląd szkolnych zespołów artystycznych, turniej między gromadami Czudec i Fryszak), ale za to główny wysiłek skupiono nad dalszym pomnożeniem dorobku gospodarczego. A trzeba wiedzieć, że srebrny jubileusz PRL strzyżowianie witają czynami społecznymi 25-milionowej wartości.

M. ZIOBRO

oknami wyrzuciła! Najpierw była konsternacja, cisza; za chwilę — powszechny entuzjazm. Prawo terroru przestało po prostu działać; zniknęło jak zjawy w Wyspiańskim „Weselu”; niemożność czynu czyn zastąpił. Czy? Jednego odważnego.

Prawo serii? — Naturalnie, że prawo serii. Poza tym niechęć do wylamywania się z rygorów, zapewniających święty spokój. I jeszcze zerwanie z onaniem, z fałszywym szacunkiem, że święte krowy i święte wieprze są nietykalne.

W swoim rodzinnym miście, na Stąsku, oglądałam taki obrazek: w kinie trzech świętych wieprzów napadło ni stąd ni zowąd na znanego kulturystę. Próbowal nie dostrzegać zaczepki. Usiłował nie użyć mięśni. Gdy dostał w twarz, gdy zobaczył podniesioną do kopniaka nogę — nie wytrzymał i porzucił towarzysztwo na czynnik pierwszy. Przyjechał wóz milicyjny, oczywiście nie mógł zdążyć przed faktem i jego żaloga zabrała wszystkich czterech do wyjaśnienia. Po drodze znaną kulturystę usłyszał pod swoim adresem z ust miarodajnych: panie, więcej takich...

Nie stanowimy, niestety, większości. Nasze mięśnie są słabe i zwiotczałe; nasza kobiecość krucha na nie się zdaje. Jesteśmy przeważnie przerażeni, choć obrażeni; musimy ustępować, choć

wszystko w nas się burzy. A taki cymbał jeden z drugim przyucza się na przykładzie naszej niewydolności fizycznej do bezkarności.

Cynizm tych szczeniaków, którzy poza chamstwem jeszcze dysponują siłą — właśnie z nas bierze początek. Z tego ich rozpasania, żeśmy słabi i że nie na każdym rogu stoi milicjant.

Zapytasz może, co ma mięsień do „lacy”? —

Ależ bardzo wiele, jeśli weźmie się czas pod uwagę. Zaczyna się przecież od pozornie niewinnego, aczkolwiek nieladnego, „bo ty też jesteś głupia!”. Skąd mi to przyszło? Ano stąd, że przed paru laty byłam naocznym świadkiem publicznej egzekucji, którą matka odprawiała na dziecku w biały dzień, na jednej z najruchliwszych ulic Rzeszowa. Walita je gdzie popadło, a ono pięcioletnie i zdesperowane, zamykało w kulak małe piąstki i wrzeszczało z początkami sinicy: bo ty też jesteś głupia! Głupia! Głupia!

Widok był przerażający. Skutki mogą być przerażające bardziej.

Gdyby odwrócić sytuację — to takie bicie jest dla mnie równoznaczne z terrorem w autobusach, tramwajach i wszelkich miejscach publicznych. Matka reprezentowała siłę i wściekłość — nie wchodzi, bom nie w stanie, czy sprostokawaną rzeczy-

wistą winą, i przecież nie to jest ważne; dziecko, nie znające jeszcze miłczenia, jako recepty świętego spokoju — próbowało piąstek. Kiedyś, spróbuje piąści. Doloży słowa. Zapewne ową „lacy”.

Odkąd siebie pamiętam, przerażał mnie terror. Toteż wierzę mi, rozumie, kiedy mi piszesz, że jeśliś wziął kiedykolwiek pas w rękę, toś czekał na odruch dumy i milczenia. Wtedy zdawało Ci się bowiem, żeś zobaczył wartości większe, niż owo dziecinne: nie bij, bo ja już nigdy nie będę!

Wszystcyśmy mówili te słowa i bywali tak cholernie nieznośni, że niedaleko wypada nam szukać przyczyn rodzicielskich nerwic. Ale nie wszyscy mieliśmy to szczęście, że ręka ojowska kierująca pasem, umiała się w porę zatrzymać, wyłowić naszą dumę i milczenie, dojsz przyczyn naszych dziecinnych przestępstw. Bo bywają one tak bardzo różne, jak różni się człowiek od człowieka, a brzydkie słowo od pięknego.

Ja, dziś, nic nie mogę zrobić. Ty też nic nie możesz zrobić. Nie mamy mięśni, ani odwagi. I taka jest prawda w odniesieniu do cudzych chamstw. Prawda o tyle gorzka, że i Ty i ja chcemy protestować przeciw chamstwu, zwłaszcza przeciw temu, które legitymuje się niewielką ilością lat.

Ale ja, Ty, on, możemy coś zrobić tam, gdzie to chamstwo rodzi się zaczyna. Gdy jeszcze czas poddać go działaniu indywidualnemu, rodzicielskiemu; gdzie, nawet występując przeciw powszechnie panującej modzie, egzekwujemy konsekwentnie swój autorytet. Nie pasem — lecz słowem. Nie wyrokiem — lecz niedopuszczeniem, by moda stała się casusem obowiązującym. Po prostu — niszczeniem mody. Ze to nie będzie działanie indywidualne? Ależ ja właśnie o tym, Mój Drogi. Bo ja dobrze pamiętam ową „Nec Hercules” i polską travestację tego przysłowia tyleż dowcipną co prawdziwą i co wulgarną dla ucha purystów. Niestety, owi purysci, to przeważnie pierwsi uciekinierzy od gorszących zająć. Często oni właśnie, dostrzegając efekty, nie dostrzegają źródeł, przyczyn, początków. Dlatego każdy święty wieprz jest dla mnie powodem do poświęcenia mu kilku chwil, bodaj uwagi, skąd się ta jego świńskość wzięła i kto wspólnie z nim na nią pracował.

Nawet piosenka, tyle że napisana przez dobrą poetkę, powiada, że nie ma skutków bez przyczyn, choć recepty owa piosenka nie podaje żadnej. Gdybym się nie obawiała zarzutów, prześmiewców i niepopularności, spróbowałabym taką receptę sformułować: po prostu umiar

w słowach w domu (co rozumie jako zlikwidowanie krzyków typu: po co ja się z taką k... ożeniłem, bądź — jeżeli ten sk... nie da mi premit, to popamięta; bardziej częste w użyciu aniżeli ogół się do tego przyznaje). Jest to równoznaczne z rewizją domowych słowników poza tym. Ponadto — umiar w wykorzystywaniu autorytetu rodzicielskiego, idący w parze z pamięcią o wadze własnej i wadze dziecka. I jeszcze poddałabym jedno pod rozwagę, już na użytek pozadomowy: ćwiczenia mięśni. Bo jeżeliśmy przegapili pierwsze — to drugie jest jedyną prawidłową reakcją. Bo święte wieprze szanują siłę i odwagę. A odwagę słowa nie milczenie manifestuje, ale czyn. Czasem czyn rękami.

Piszesz — smutne? Smutne. Tyleż smutku widzę w tym jednak, co prawdy. Bo że ja się boję ingerencji w cudze chamstwo, że zaś bojaźń rodzi tylko zdwójoną nienawiść wobec tego chamstwa — to już dla profilaktyki znaczenie ma raczej nikome. A w końcu przynasz, Drogi, ona się tylko liczy i tylko ona może zlikwidować te przerażające nas sytuacje.

Nie gniewaj się więc, że tak dziś zasadnicza — ale fatalnie znoszę apele, które nie tylko do mnie powinny być kierowane...

KRYSTYNA

Z PIESNIĄ I TAŃCEM

Za rok będą obchodzić okrągły jubileusz: dziesięciolecie istnienia pracy i sukcesów. Od 1960 roku bowiem zachwyca publiczność koncertami Zespół Pieśni i Tańca „Dzikowianie” z Technikum Rolniczego w Tarnobrzegu.

Odnaka Tysiąclecia, wiele dyplomów uznania, m. in. od Ministerstwa Kultury i Sztuki, ponad 130 występów i 140 tysięcy widzów — mówią same o sobie. „Dzikowianie” koncertowali na Centralnej Akademii 22 lipca w Warszawie w ubiegłym roku, pokazali się także na Rzeszowskim Jarmarku Pieśni i Tańca, odbyli wiele wojaży artystycznych poza województwem, a nawet da się granicą. Kilka lat temu dali się poznać w obwodzie lwowskim. Roztańczeni i rozśpiewani chłopcy i dziewczęta musieli widać zostawić mocne wrażenie — skoro zostają powtórnie zaproszeni w ramach przygranicznej wymiany kulturalnej do Lwowa (od 10—14 lipca).

Aktualnie prezentują bogaty zestaw tańców narodowych i ludowych: mazur, polonez, tańce opoczyńskie, łowickie, sieradzkie, kujawskie, świętokrzyskie, kurpiowskie, lubelskie, krakowskie, cieszyńskie, rzeszowskie i góralskie.

Nad całością programu czuwa od lat — kierownik artystyczny Jan Kowalski (dawny członek zespołu), chórem dyryguje Wiesław Woźniak, choreografem zespołu jest Antoni Wolczko — a nad kostiumami pracuje Janina Weislik.

(just)

Zdjęcia: M. Kopeć



Zdzisław Kozioł

DOBRA SZKOŁA!

Szkołę Podstawową nr 17 znam od początku jej powstania. Przed paru laty jako członek Miejskiego Komitetu SFBS, byłem częstym gościem w nowo wznoszonym obojczy przy ul. Podpromie, teraz Bulwarowej. Przewodniczącym tego Komitetu był Bronisław Białej, ówczesny sekretarz KM PZPR, członkami zaś ludzie z różnych instytucji, których łączyła troska o to, by Rzeszów otrzymał nowe obojczy szkolne.

Szkoła nr 17 jest jedną z najmłodszych szkół rzeszowskich. Autorzy projektu popelnili sporo błędów i w ogóle ten niski budynek, nie najlepiej się prezentuje na tle sąsiednich wieżowców. Ale już przekraczając furtkę ogrodzenia przekonacie się, że kieruje nią zapobiegliwy gospodarz: wszędzie czysto, pięknie utrzymane zieleńce, bardzo ładny ogród, a od strony Wisłoka nawet miniaturowy las. A nie tak dawno były tu wertepy i rumowiska. Wewnątrz też ład i porządek, przytulne pomieszczenia, gustowna dekoracja.

Szkoła ta imponuje nade wszystko wspaniałe urządzeniami i pracownikami do każdego przedmiotu. To jedna z najlepiej wyposażonych szkół w Rzeszowie. Takiego wyposażenia może pozazdrościć „siemnaście” wiele szkół w większych miastach, nawet w stolicy.

Pytałem kierownika Fudalego, skąd wziął środki na pomoce naukowe, z których niejedna kosztowała przecież kilka tysięcy złotych. Mówił mi o przeróżnych zabiegach, dzięki którym zdobył potrzebne fundusze, ale przede wszystkim podkreślał, że nauczyciele odczuwają potrzebę nauczania w nowoczesnych warunkach, wiedzą, że jest to wstępny warunek realizacji nowych programów nauczania. Stąd liczne pomoce naukowe powstały dzięki wysiłkom samych nauczycieli. Niektóre z nich były prezentowane na wystawie postępu pedagogicznego, która staraniem władz oświatowych zorganizowano w Rzeszowie przed paru laty.

Nie będę opisywał poszczególnych pracowni; zajęłoby to zbyt wiele miejsca i nie jestem pewien, którą z nich należałoby specjalnie wyróżnić. Geograficzna z licznymi pomocami naukowymi, w tym z wszystkimi chyba minerałami występującymi w Rzeszowskim; biologiczna, będąca na dobrą sprawę mikromuzeum przyrodniczym i zarazem laboratorium; może chemiczna, w której np. znajduje się przyrząd do destylacji ropy naftowej, a czy można pominąć pianino z instalacją elektryczną — po naciśnięciu klawisza zapala się na pieciolini odpowiednią żarówka.

Zwiedzającemu tę szkołę mimo woli nasuwają się refleksje na temat równego startu młodzieży; widziałem szkoły, w których jest tylko znikomą zestaw pomocy naukowych, gorzej — spotykałem nauczycieli, którzy nie umieją korzystać z posiadanych pomocy...

Truizmem jest twierdzenie, że słabo wyposażona szkoła nie może realizować nowego programu nauczania. To jest oczywiście, ale zaryzykuje twierdzenie, że dobrze wyposażona szkoła, w której na domiar pracują sami specjaliści od poszczególnych przedmiotów, może być ogólnie mówiąc utraipieniem dla uczniów. I tu przechodzę do zasadniczego tematu. Umawiając spotkanie z kierownikiem Fudalim zapowiedziałem, że interesują mnie nowoczesne metody nauczania, a zwłaszcza tzw. nauczanie programowane.

Szkoła, w której formalnie i zarazem rygorystycznie realizuje się nowy program może być utraipieniem nie tylko dla uczniów, ale także dla rodziców. Przykłady? Proszę bardzo. Moja znajoma ma córkę w szkole, w której zajęcia techniczne prowadzi ambitny i wymagający nauczyciel; raz każe przynieść szybę o określonych wymiarach, innym razem klepkę parkietową, to znów jakieś tworzywo sztuczne. Nie przyniesie dziecko klepki — otrzyma w dzienniku pałę, bo nauczyciel poważnie traktuje wychowanie techniczne, nie tak jak za naszych czasów traktowano tzw. prace ręczne, będące wówczas przysłowiowym miczałkiem. Nauczyciel groźbą oceny niedostatecznej egzekwuje wymagania programu. Postawcie się teraz w sytuacji rodzica, który w krótkim terminie musi te surowce zdobyć...

A teraz przykład z historia. Do biblioteki dziecięcej przychodzi dziewczynka, prosząc o „Faraona”. — A do której ty klasy chodzisz — pyta bibliotekarka.

— Do piątej, proszę pani.
— Na „Faraona” masz jeszcze czas, to lektura dla starszej młodzieży.

— Ale pani od historii kazała nam się postarać o tę książkę i przeczytać kilka stron, bo teraz przerabiamy starożytny Egipt.

Dziecko nie wiedziało jednak o jaki fragment chodzi, być może nie uważało na lekcji, gdy pani zadawała, czy jednak „Faraon” to lektura dla klasy V? Prawdopodobnie nauczycielka chciała uatrakcyjnić materiał podręcznikowy o Egipcie faraonów, ale zamiast kazać dzieciom biegać po bibliotekach za tą książką, należało raczej przynieść ją do szkoły i przeczytać odpowiedni fragment.

A propos lektur: do bibliotek dziecięcych przychodzi uczniowie i prawie każdy pyta np. nie o „Cichy Don”, ale o fragmenty tej kozackiej epepe. Wygląda to mniej więcej tak: zziązaj! wpadają do biblioteki (każdy chce być pierwszy) i od progu wołają:

— Proszę pani, czy są fragmenty „Cichego Donu”?

— Proszę pani, a może są fragmenty „Września”?

Program nauczania przewiduje nie „Cichy Don” czy „Września”, lecz fragmenty tych powieści i wobec tego uczniowie pytają właśnie o fragmenty. O jakie fragmenty chodzi? Nauczyciel chyba wie, ale czy uczeń zechce pominąć te partie „Cichego Donu”, które raczej się nie nadają dla 14-latków?...

Z lekturami do języka polskiego są ciągle kłopoty; realizując obowiązujący program nauczyciel wymaga ich przeczytania. Więc tłumy dzieci z różnych szkół mniej więcej w tym samym czasie przybiegają do bibliotek publicznych po aktualnie przerabianą książkę. Znam jednak szkoły, w których nie ma specjalnych kłopotów, bo biblioteka szkolna jest nie tylko zaopatrzona, a nauczyciele nie zadają lektur z dnia na dzień, lecz z odpowiednim wyprzedzeniem.

Skoro już mowa o lekturach, to konia z rzędem temu, który mi wskaże szkołę posiadającą pełny zestaw lektur do wszystkich przedmiotów. Zaryzykowałbym nawet twierdzenie, że niektórych lektur nie znają nawet nauczyciele. I wcale im tego nie mam za złe. Autorzy programu biologii dla klasy VIII też każą uczniom czytać lektury. Słusznie. Tylko np. cykl 8 lekcji uzupełnia spis lektur obejmujący 19 tytułów, w tym głównie publikacje „Wiedzy Powszechnej” i PZWL, inny cykl — 12 tytułów książek popularnonaukowych itd.

Po tych dygresjach powróćmy do szkoły nr 17, a raczej do rozmowy z jej kierownikiem i innymi nauczycielami. Zamiast o programowanym nauczaniu, mówiliśmy głównie o przeciążeniu ucznia obowiązkami szkolnymi. Słusznie podkreślał kierownik Fudali, że zachodzi sprzeczność między lansowanymi obecnie metodami nauczania a obowiązującym programem nauczania. Mój rozmówca ilustrował to na przykładzie biologii, której program, podobnie zresztą jak i innych przedmiotów, wymaga wielu ćwiczeń, prac laboratoryjnych itp. To już nie jest nauczanie w dawnym rozumieniu, ale par excellence kształcenie, wdrażanie ucznia do pracy niemal badawczej. Ćwiczenia z zastosowaniem odpowiednich, często skomplikowanych przyrządów, preparatów czy odczynników pozwolą uczniowi na długo zapamiętać daną partię materiału. Ale materiał nauczania jest tak obszerne, że nauczyciel nie jest w stanie zademonstrować wszystkich ćwiczeń, a tym bardziej przeprowadzić ich z uczniami.

Dla wielu nauczycieli program nauczania jest tym, czym Koran dla wyznawcy Mahometa. Ale program nauczania zreformowanej szkoły podstawowej jest obliczony na co najmniej średniozdolnego ucznia i panuje zgodna opinia, że mniej zdolni nie mogą podolać wymaganiom. Nauczyciel, specjalista w zakresie danego przedmiotu, stara się na lekcji podać jak największą ilość materiału, demonstrując jedno — dwa ćwiczenia, by udowodnić — jak mówi p. Fudali — że ma rację, inne ćwiczenia zadaje do domu, każe się uczyć z podręcznika i czytać uzupełniającą lekturę. A coraz częściej poszczególnych przedmiotów uczy nie nauczyciel w ogóle, lecz nauczyciel specjalista, mający wysokie mniemanie o swoim przedmiocie i jego wymagania wobec uczniów są na miarę tego mniemania. Tymczasem w szkole podsta-

A CO TO ZNACZY?

wowej jest przedmiotów dwanaście!

Program nauczania zreformowanej szkoły podstawowej, który obejmuje sporą część materiału dawniej obowiązującego w liceum, wymaga nowoczesnych metod nauczania, a więc różnorodnych prac laboratoryjnych, zastosowania środków audiowizualnych itp. Lecz na to wszystko brakuje czasu i dlatego niejednemu nauczyciel woli nauczać werbalnie. Nauczając werbalnie wyczerpie program, poda wymagany zasób wiadomości. Słowem rozbudowany program nauczania nie sprzyja, zdaniem wielu nauczycieli, stosowaniu lansowanych właśnie przez obowiązujący program metod nauczania. Sprzeczność? Tak by wynikało.

Co w tej sytuacji nauczyciel robi? To już zależy od jego osobowości i inwencji. Pani Józefa Grochala, zastępca kierownika „siedemnastki” bardzo sceptycznie wyraziła się o rygorystycznym, a raczej formalnym egzekwowaniu materiału programowego; opowiada się za tym, by nauczyciel skoncentrował uwagę dziecka na sprawach najważniejszych, potrzebnych mu w następnych klasach, a przede wszystkim w życiu. Tak, sprawa niby prosta, ale jakiego trzeba doświadczenia pedagogicznego, nie mówiąc już o merytorycznej wiedzy, by tak nauczać?

Mają rację ci nauczyciele, którzy twierdzą, że w pogoni za nowinkami dydaktycznymi zapominają

o już dawno sprawdzonych w praktyce metodach nauczania. Zdaniem doświadczonych nauczycieli, w tym także moich rozmówców z „siedemnastki” meblowanie uczniowskich głów nadmiarem wiedzy, werbalnie podanej, pedantycznie, zgodnie z literą programu egzekwowanej, prowadzi do wielu negatywnych następstw. Przede wszystkim zmęczenie młodzieży; jakże często uczeń na szóstej czy siódmej lekcji już nie uważa, jego umysł nie chłonie podawanych mu mądrości. Jakże często dziecko do szkoły przychodzi już zmęczone! Dlaczego? Ogląda do późnych godzin telewizję, uczestniczy w życiu towarzyskim rodziny itp. W ogóle w miastach, zwłaszcza dużych, obserwuje się zjawisko ospałości umysłowej uczniów, zjawisko przybierające niepokojące rozmiary.

Zwróćmy uwagę na jeszcze inny aspekt zagadnienia, chyba szczególnie ważny. Rozległy program nauczania zmusza niejaką, często mimo woli, nauczyciela do preferowania spraw dydaktycznych kosztem wychowawczych. I to jest poważne niebezpieczeństwo, przed którym doświadczeni nauczyciele przestrzegają. Szerzej o tym innym razem, na zakończenie zaś warto by odpowiedzieć na pytanie postawione w tytule. Moi rozmówcy akcentowali przede wszystkim działalność wychowawczą szkoły. Ciekawe refleksje nasunęły mi się po rozmowie z panią Gromską, polonistką z „siedemnastki”, która porównywała w oparciu o swoją praktykę szkołę przedwojenną i obecną. Materiał, który ma teraz uczeń opanować, jest obszerniejszy niż dawniej, wszystkie, a więc i te słabsze, mniej zdolne. Upowszechnienie wykształcenia ponadpodstawowego jest też nie bez znaczenia. Szkoła podstawowa, przejmując część materiału dawniej średniej, stała się zaledwie pierwszym etapem w edukacji współczesnego człowieka. I dobrą szkołą podstawową jest ta, która dobrze przygotowuje do nauki w szkole średniej.

Robotnicy o teatrze telewizyjnym

Tradycyjnej scenie wyrósł poważny rywal w postaci teatru TV — oto jedna z konkluzji interesujących badań przeprowadzonych w środowiskach robotniczych Warszawy i Szczecina przez dr Marię Burdowicz - Nowicką z Instytutu Filozofii i Socjologii PAN. W parze ze spadkiem zainteresowania sztukami teatralnymi na scenie i rosnącą popularnością programów teatralnych telewizji idzie również wzrost krytycyzmu widza robotniczego, który zaczyna dokonywać selekcji programów i sztuk.

Spośród ulubionych programów teatru telewizyjnego trzecie miejsce (po filmach i programach rozrywkowych). Jedynie 2 procent ankietowanych przedstawicieli rodzin robotniczych nie ogląda wcale spektakli na szklanym ekranie, natomiast 36 procent ogląda je stale w towarzystwie członków rodziny — rzadziej — sąsiadów. W 90 procentach rodzin robotniczych omawia się obejrzaną sztukę wspólnie z bliskimi, kolegami z zakładu pracy i sąsiadami. Najwięcej tematów do dyskusji dostarczają sztuki z przeszłości, nie odgrzywa przy tym roli okoliczność, czy autorem sztuki jest Polak czy też cudzoziemiec.

Badane przez dr Burdowicz-Nowicką środowisko (huta „Warszawa” i Stocznia Szczecińska) preferuje poszczególne gatunki sztuk w teatrze telewizyjnym w kolejności następującej: komedie, sztuki o wątku kryminalno - sensacyjnym, tragedie oraz sztuki z gatunku science fiction.

Wśród oglądanych w okresie ostatnich trzech miesięcy programów TV największą ilość głosów ankietowanych padła za „Skapcem” Moliere’a, przerobioną powieści Kabaleka „Awantura z Agnieszka” oraz na „Intrygę i miłość” Schillera.

Czym kierowali się ankietowani przy wyborze tych sztuk? 46 procent uzasadniało swój wybór treścią sztuki, 19 procent grą aktorów, 14 procent głosowało na te pozycje z uwagi na zawarty w nich ładunek dowcipu i rozrywki.

Ankietowani podkreślają szczególne zainteresowanie dla przedstawień „wzietych z życia”. Ich zdaniem wszystkie te sztuki są ciekawe, a treść ich — stara jak sama ludzkość — wiecznie żywa: chciwość, miłość syna i ojca do jednej i tej samej kobiety, przeszkody, piętrowe się przed zakochanymi, bohaterstwo itd. Za wyborem tej czy innej sztuki przemawiają często: frapujący tytuł, gra znanych i ulubionych aktorów (tylko 24 procent badanych nie posiada swoich ulubieńców wśród aktorów) lub nazwisko autora. Ankietowane kobiety interesują się aktorami w większym stopniu niż mężczyźni i na liście najbardziej popularnych artystów pięć pierwszych miejsc zajmują aktorzy — mężczyźni.



- KONSTITUCJA PRL. Uchwalona przez Sejm Ustawodawczy w dniu 22 lipca 1952 roku. Kłw. s. 88, cena 5 zł.
- ZBOWIDOWCY. Tradycje i zadania. Wyd. ZG ZBOWID. Kłw. s. 480, cena 70 zł.
- Wydany z okazji IV kongresu ZBOWID tom zawiera szereg interesujących artykułów, bogato ilustrowanych. Również kalendarium najważniejszych akcji wojskowych.
- Andrzej Zeromski: PO OBU STRONACH JORDANU. (Historia konfliktu). Kłw. s. 216, cena 12 zł.
- Autor podjął próbę ukazania na przestrzeni dziejów stosunków między Arabami i Żydami. Od Mojżesza poprzez wieki, powstanie państwa Izrael, narastanie konfliktu, kolejne agresje Izraela na kraje arabskie. Zaletą jest zwięzłość i przejrzystość.
- Władysław Kozaczek. BITWA O TAJEMNICĘ. Służby wywiadowcze Polski i Rzeszy Niemieckiej 1922-1935. Wyd. II rozszerzone. Kłw. s. 468, cena 30 zł.
- Praca niniejsza przedstawia działalność organu władzy państwowej Polski sanacyjnej, który znamy pod nazwą Oddział II Sztabu Głównego. Była to państwowa i wojskowa zarazem służba informacyjna.
- XXV LAT POLSKI LUDOWEJ. Przemówienia wygłoszone na uroczystym posiedzeniu Sejmu PRL w dniu 21 lipca 1969 roku. Władysław Gomułka — I sekretarz KC PZPR, Leonid Breżniew — sekretarz generalny KC KPZR, Gustaw Husak — I sekretarz KC KPCZ, Willy Stoph — członek Biura Politycznego KC SED, przewodniczący Rady Ministrów NRD. Kłw. s. 66, cena 3 zł.
- Mieczysław Nasilowski: ROZWOJ GOSPODARCTWA POLSKI LUDOWEJ. Kłw. s. 60, cena 4 zł.
- W cyklu „Problemy polityki gospodarczej”.
- Fryderyk Engels: ZASADY KOMUNIZMU. Kłw. s. 48, cena 4 zł.
- W cyklu „Biblioteczka aktywisty ZMS”.
- Fryderyk Engels: O UPADKU FEUDALIZMU I POCZĄTKACH ROZWOJU BURŻUAZJI. Kłw. s. 32, cena 2 zł.
- W tym samym, co poprzednia pozycja cyklu.
- Stanisław Ciałosta: EKONOMICZNE ASPEKTY OBRONNOŚCI. MON. s. 260, cena 26 zł.

KONKURS KONKURS KONKURS

12 października 1969 r. obchodzimy 26 rocznicę powstania Ludowego Wojska Polskiego. Z tej okazji w ramach imprezy pod nazwą „Kinematografia polska w 25-lecie PRL”, w miesiącu październiku br. odbywa się w kinach województwa rzeszowskiego przegląd polskich filmów wojennych. Organizatorzy imprezy proponują miłośnikom filmów o tematyce batalistycznej obejrzenie najciekawszych pozycji dorobku naszej kinematografii w tej dziedzinie. Filmy te przypominają nam męstwo i bohaterstwo żołnierza polskiego w kampanii wrześniowej i w czasie wyzwolenia naszej ojczyzny wspólnie z Armią Radziecką spod okupacji hitlerowskiej.

Centrala Wynajmu Filmów i Wojewódzki Zarząd Kin, Wojewódzka Komisja Związków Zawodowych, Zarząd Wojewódzki Ligi Obrony Kraju i Redakcja tygodnika społeczno-kulturalnego „Widnokrąg” w Rzeszowie ogłasza konkurs pt. „Czy znasz polski film batalistyczny”. Czytelnicy uczestniczący w seansach z latwością odgadną zadania konkursowe.

PYTANIA KONKURSOWE

1. Jak się nazywa aktorka występująca w roli porucznika w filmie „Rzeczpospolita babska” w reżyserii Hieronima Przybyły. Podaj imię i nazwisko aktorki.
2. Jest to film dwuseryjny, dramat wojenny, ukazujący udział polskich żołnierzy w najważniejszej operacji II wojny światowej, w ostatecznym rozgromieniu Niemiec hitlerowskich i zdobyciu Berlina. Podaj tytuły tych filmów.
3. W jakim stopniu wojskowym występuje Jan Machulski w filmie pt. „Rzeczpospolita babska”?
4. X Dywizja II Armii Wojska Polskiego przygotowuje się do bitwy o sforsowanie Nysy. Reżyserem filmu jest Witold Lesiewicz. Jaki jest tytuł filmu?
5. „Aby kwitło życie” to film dokumentalny poświęcony Ludemu Wojsku Polskiemu. Wymień nazwiska realizatorów tego filmu.
6. Podaj imię i nazwisko aktora, który odwarza rolę ehożarę Gryczmana w filmie pt. „Westerplatte”.
7. „Gdzie jest generał” — to komedia filmowa opowiadająca o miłości dwójga żołnierzy: Rosjanek Marusi i Polaka Orzeszki. Podaj imię i nazwisko autora scenariusza.

8. Jak się nazywa autor powieści, wg której został zrealizowany film pt. „Potem nastąpi cisza”.

9. Podaj imię i nazwisko reżysera filmu pt. „Droga na zachód”.
10. Jaki rodzaj wojsk ukazuje film pt. „Czarczi żleb”?

WARUNKI KONKURSU

Uczestnicy konkursu do dnia 10 listopada br. mają nadać prawidłowe odpowiedzi na adres: Centrala Wynajmu Filmów Ekspozycja w Rzeszowie, ul. Rejtana 2. Odpowiedzi należy wysłać na kartce pocztowej z napisem „Konkurs filmowy pt. „Czy znasz polski film batalistyczny”. Wśród uczestników, którzy poprawnie odpowiedzą na wszystkie pytania, rozlosowane zostaną następujące nagrody:

1. aparat fotograficzny,
 2. suszarka do włosów,
 3. aktówka,
 4. komplet do pisania
- oraz 10 nagród książkowych.

Polski „Świat dziecka” na wystawie w Jugosławii

Działająca w Toruniu jedyna w Polsce stała galeria twórczości dziecka wysłała do Jugosławii kolekcję prac, na którą składa się przeszło 500 rysunków i obrazów młodych artystów-amatorów. Będą one eksponowane w stolicy Wojwodiny — Novi Sad, na wystawie pn. „Świat dziecka”.

Zestaw skompletowany w Toruniu jest plonem kilku konkursów ogólnopolskich, rozpisanych przez Galerię w ostatnich latach. Prace obejmują szereg tematów, będących m. in. wyrazem spojrzenia dzieci polskich na sprawy wojny i pokoju oraz współczesnej cywilizacji technicznej, a także współpracy naszego kraju z państwami obozu socjalistycznego.

Kartki dla Ewy

Marzenia

Chcieliśmy osiągnąć konia i mknąć na nim w szumiącą prerię. Chcieliśmy kierować polarnym zaprzęgiem, zdobyć Mount Everest i dno oceanu. Czekano nas życie barwne i pełne tajemniczych przygód, ale trzeba było brnąć przez szkolne ławki — przez abecadło, gramatykę, prawa Newtona i Rewolucję Francuską.

Potem zrozumieliśmy, że człowiek nie jest przelotnym ptakiem, lecz istotą związaną tysiącem węzłów z rodziną i społeczeństwem. Nasze marzenia więc stały się inne, mniej samolubne. Chcieliśmy żyć dla drugich, zostać bohaterami. Wierzyliśmy gorąco we własne siły, w przychylność losu dla wszelkich poczyznań, w sukces mimo trudności.

Każdy z nas czekał na miłość — na piękną czułą kobietę, na silnego mężczyznę, zawsze wiernych, zawsze tkliwych przez cały wspólnie spędzony czas.

A teraz? Płyną dni. Im więcej ich będzie tym dalej zostaną młodzieńcze marzenia. Kiedyś stanie się w miejscu, w którym człowiek zapyta sam siebie. Cóż ja takiego właściwie przeżyłem? Nauka, praca, małżeństwo, dzieci, choroby i dalej praca. Absolutnie nie warto o tym wspominać, gdyż są to sprawy tak oczywiste, że uwagi nie godne. Jesteśmy przecież tylko biernym trybikiem w maszynie życia i nie już zmienić nie można.

I tutaj chyba zaczyna się starość. Może jeszcze nie ta, która brudzi twarz i pochyla plecy, lecz znacznie gorsza, bo pozbawiająca nas chęci działania i optymizmu. Stajemy się małżonkami, mizantropami, mierzi nas świat. Wtedy najłatwiej stwierdzić, że przesładuje nas pech, a życie dało nam tylko jarzmo obowiązków, w którym ani sukcesu, ani przygody. I mamy tak trwać w tej szarzyźnie aż do śmierci? Okropność!

Niejaką pociechą jest obserwacja cudzego życia. Zwykle bywa intrygujące, pobudza do rozmyślań, czasem dostarcza lekarstwa na własne dolegliwości. „Patrzcie, taki był głupi, a został dyrektorem”. Może więc kiedyś do nas uśmiechnie się szczęście, ocenią nasz spryt i talenty, bo dotychczas nawet pies z kulawą nogą nie poznał się na nas. A tak znakomicie zapowiadaliśmy się. Gdyby wprowadzono w życie wszystkie nasze plany i projekty, świat byłby tworem doskonałym. Ale niestety, pominięto nas więc cierpiemy srodze. Cóż to bowiem za egzystencja bez żadnych sukcesów, bez „pełni doznań”. To nie egzystencja! To wegetacja!

Ach, gdyby tak jeszcze raz mieć 20 lat. Człowiek urządził by się wcale wygodnie. Przede wszystkim kochałby to parzywe życie, każdym nerwem, każdym najmniejszym włókienkiem ciała. Nie zmarnowałby żadnej szansy, żadnej okazji. Ten kapitał procentowałby długie lata, stałby się największym sukcesem. Można by kochać inarzej, lepiej pracować, docenić przyjaciół, zrozumieć innych ludzi, być tolerancyjnym, mieć poczucie humoru. Można by patrzeć na świat zachłannie, otwartymi oczami i widzieć ten świat jak przygodę, jak wielkie wydarzenie.

Dziś znudzeni jesteśmy sami sobą i kręcimy się wśród jałowych rozważań — cobybyłoby... Z drobiazgowo robimy problemy, bagatelizujemy sprawy ważne, wielu staramy się nie dostrzegać. Na razie brak perspektyw, lepiej się nie wychylać. Inni zrobią to z lepszym skutkiem, są młodzi. My poczekamy, zobaczymy co się zrobi, gdy nadejdą dobre czasy. Na razie tylko knajpa, telewizja i fotel na biegunach. Nawet miłość nie jest przygodą. Miłość to incydent erotyczny, temat do kawałów, do pogaduszek. Jeszcze solidna popijawa coś znaczy. Taka, po której goni się białe myszki, ale można wrócić w szumiącą prerię, nawet na starej kobylicy, popędzić krwiożercze Huski, zdobyć góry i morze, wrócić do muzyki, chemii, aktorstwa, do wszystkich marzeń zniweczonych przez lata. I wreszcie mieć jakąś przygodę.

BEGA

Krzysztof Penderecki o swoich planach i pracy

„...W osobie Pendereckiego Polska zyskała chyba największego kompozytora od czasów Chopina...”

„...Muzyka Pendereckiego... nie wnosi nic nowego w porównaniu z poprzednimi dziełami tego kompozytora... Wystawienie opery w Stuttgarcie jest bardziej zgodne z duchem utworu niż inscenizacja hamburska...”. Obie recenzje, z których pochodzą wybrane fragmenty, są reakcją krytyków muzycznych na wykonanie pierwszej opery znakomitego kompozytora Krzysztofa Pendereckiego — „Diabły z Louden”. Pierwsza jest dziełem Amerykanina — Paula Moore, druga Francuza — Jacquesa Longchampa. Obie są w zasadzie reprezentatywne dla sprzecznych opinii o operze, jakie dotarły do kraju.

— Co jest tego powodem? — zapytał znakomitego kompozytora przedstawiciel PAP, który odwiedził go w jego krakowskim mieszkaniu.

— Nieprzychylnie recenzje dotyczyły inscenizacji hamburskiej. Przy czym nie były to recenzje dyskredytujące. Po prostu przedstawienie hamburskie i stuttgartskie były różne. Pierwsza inscenizacja była ciekawa teatralnie, ale nie uwzględniała — niestety — muzyki. Druga — była bardziej bliska koncepcji autorskiej. W sumie „Diabły z Louden” cieszą się chyba powodzeniem, skoro telewizja hamburska nakręciła z nich przeszło dwugodzinny film, Francuzi wystąpili z podobną propozycją, a wytwórnia DGG postanowiła nagrać utwór w całości.

— Czy nie obawia się Pan, że pokazywanie opery w kinach i telewizji spowoduje, iż będzie ona odbierana bardziej powierzchownie? Publiczność operowa...

— Publiczność operowa uważam za najgorszą w świecie. Sam nie chodzę do opery, bowiem bardziej przypomina mi ona promienadę niż spotkanie ludzi, którzy przyszli posłuchać muzyki. Wracając do kina: język filmowy jest o wiele bogatszy od języka, jakim dysponuje teatr. Film może wydobycь szczegóły, wypuklić je, spowodować kontrast przez szybką zmianę akcji itd.

— Skoro już o filmie. Ponoć w podróży towarzyszą Panu filmy?

— Tak. Jeżdżą ze mną po całej

Europie, nakręcając sceny do czegoś, co można by nazwać filmowym portretem. Podejrzewam, że nie chodzi im tylko o portret kompozytora, rejestrują bowiem na taśmie nawet takie szczegóły, jak np. moją rozmowę z kelnerką w kawiarni.

— Przygotowywał Pan swoją kolejną operę...

— „Króla Ubu”. Napisałem libretto. Nie jestem jednak jeszcze pewien, czy będzie to opera. Zobaczymy. Pewne jest tylko to, że prawykonanie „Króla Ubu” odbędzie się z okazji inauguracji najbliższej olimpiady.

— Inne plany?

— Nadal pracuję nad utworem dla słynnego zespołu jazzowego Aleksandra von Schlippenbacha, który zostanie wykonany na festiwalu w Donaueschingen w 1970 roku. Przygotowuję też nową kompozycję dla ONZ, z okazji 25 rocznicy podpisania Karty Narodów Zjednoczonych. Będzie ona wykonana 24 października 1970 roku w sali ONZ w Nowym Jorku.

— Czy w kraju będziemy mieli okazję usłyszeć i zobaczyć „Diabły z Louden”?

— W przyszłym roku na zakończenie „Jesieni Warszawskiej”.

— Bez przerwy Pan podróżuje. Kiedy Pan tworzy?

— W samolocie. Nikt, oprócz mojej żony, która towarzyszy mi w podróżach, w to nie wierzy, ale to jest prawda. To jedyny sposób na połączenie moich obowiązków.

— Jakim instrumentem w takim razie pomaga Pan sobie podczas komponowania?

— Żadnym. Z dwóch powodów: pierwszy, to ten, że komponując „słyszę”. Drugi bardziej prozaiczny: po prostu nie gram na żadnym instrumencie. Znam tylko ich możliwości techniczne. Skrzypce, instrument, którego kiedyś chciałem być wirtuozem, rozbiłem kilkanaście lat temu. Od tego czasu — był to bodaj rok 1951 — nie miałem ich już w ręku. Nie przeszkadza mi to oczywiście komponować utworów na instrumenty skrzypcowe. Fortepian zaś, na którym umiem grać, ale nie tyle, by grać dla kogoś, nie odpowiada mi.

— Jakiej muzyki Pan słucha? — Lubię barokową. Poza Strawińskim i Bartokiem — nie znoszę współczesnej. Naprawdę zaś nie słucham muzyki...

(Rozmawiał: M. Kuczewski)



ZDZISŁAW PACHOLEWICZ — tancerz Zespołu Pieśni i Tańca WDK w Rzeszowie. Rys. J. SIENKIEWICZ

W Bułgarii o zjeździe pisarzy

W ostatnim numerze tygodnika „Literaturen Front”, który właśnie obchodzi 25-lecie swego istnienia, ukazał się artykuł pióra Aleksandra Muratowa, poświęcony Zjazdowi Polskich Pisarzy z Ziemi Zachodniej i Północnych.

Przypominając wydarzenia sprzed 30 lat, które zapoczątkowały drugą wojnę światową, autor pisze m. in. o bohaterkiej obronie Gdańskiej Poczty i Westerplatte.

Autor omawia też pokrótce wstępne wystąpienie Stanisławy Fleszarowej-Muskat, przypominając, iż Polska straciła w czasie wojny 1/5 część całej swojej ludności.

A. Muratow cytuje również fragmenty z przemówień Juliana Przybosa, Tadeusza Hołuj, Wilhelma Szewczyka i Zbigniewa Żaluskiego, podkreślając twórczą, choć nie pozbawioną polemicznych akcentów atmosferę dyskusji i troskę polskich pisarzy o rozwój literatury.

Cenne osiągnięcia edytorskie „Ossolineum”

„Polonia typographica saeculi sedecimi” — to piękne, wydawane w ostatnich latach przez „Ossolineum” we Wrocławiu publikacje, zawierające zbiór podobizn zasobu drukarskiego pierwszych polskich tłoczni z XVI i XVII wieku.

Dotychczas ukazało się 6 tomów dużego formatu z reprodukcjami słynnych drzeworytów znanych krakowskich tłoczni — Kaspera Hochfedera (1503—1505), Jana Hallera (1505—1525) i Floriana Unglera (1510—1516).

Każdy z zeszytów posiada obszerny omówienie danej drukarni i album, przedstawiający reprodukcje drzeworytów o różnej tematyce, m. in.: architektonicznej, przyrodniczej, obyczajowej, religijnej itp. wprowadzonych do druku przez daną drukarnię. Tym sposobem Polonia typographica nie tylko utrwała i udostępnia pierwsze zdobnictwo i typografię XVI i XVII

w., ale przynosi również opracowane od nowa zestawienia bibliograficzne, obejmujące piśmiennictwo tych stuleci. Poszczególne zeszyty są wynikiem pracy zespołu naukowców Instytutu Badań Literackich PAN pod kierunkiem prof. A. Kawękiej-Gryczowej i opierają się na materiałach zgromadzonych w bibliotekach Czartoryskich, Jagiellońskiej, Ossolineum, Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu, Biblioteki Kornickiej, Kapitulnej we Wrocławiu i innych.

Na tegorocznym Biennale książki uniwersyteckiej w Bolonii wręczony został przedstawicielom wrocławskiego „Ossolineum” złoty medal przyznany przez Radę Ministrów Republiki Włoskiej za znaczne osiągnięcia bibliograficzne tego wydawnictwa, ze szczególnym uwzględnieniem „Polonia typographica saeculi sedecimi”.

Kalman Segal

Między obojętnością a sentymentalizmem

Jesteśmy już bardzo mądrzy. Wystaliśmy już przedstawiciele naszego gatunku (homo sapiens) na Księżyc, znamy się na sztuce, technice i polityce i pomaleńku rozgryzamy skomplikowane zagadnienie rewolucji seksualnej na Zachodzie.

I tylko jeden oporny problem pozostał dla nas niezrozumiały: człowiek. Inaczej mówiąc, nie znamy się wystarczająco, że by móc powiedzieć bez wahania i z całą pewnością, że człowiek współczesny jest czuły i wrażliwy, że jest szlachetny i że jego serce przepelnione jest najczystsza słodyczą.

I równie trudno, a może jeszcze trudniej byłoby powiedzieć, że jest brutalny lub gruboskórny, że jest egoistą pozbawionym skrupułów.

Był mglisty poranek, jechałem do Warszawy pociągiem ekspresowym, nagle pociąg gwałtownie zatrzymał się, podeszliśmy do okna: obok toru leżał krwawiący, prawdopodobnie już martwy, człowiek — może samobójca, a może ofiara nieszczęśliwego wypadku. Pasażerowie w moim przedziale milczeli — każda śmierć budzi milczące refleksje. Potem jakiś młody człowiek odezwał się: „No, teraz już tu będziemy stać do południa”.

Jednak nie staliśmy długo. Po kilku minutach pociąg ruszył i ktoś inny powiedział: „Chwała Bogu, jedziemy”.

Więc jechaliśmy. Kelner z restauracyjnego wagonu roznosił kawę i torciki. Piliśmy więc kawę, jedliśmy słodycze, smakowało nam, i nikt już nie wspominał o tamtym tragicznym wydarzeniu — jeszcze jeden epizod, o którym można zapomnieć.

Co z tego wynika? Nic. Ludzie z pociągu pośpiesznego mają swoje własne pilne sprawy, każda ich sprawa jest zapewne ważna, ludzie w pociągu pośpiesznym bywają też głodni i muszą coś zjeść i wypić. Niech im wyjdzie na zdrowie.

A we mnie pozostał wówczas jakiś bolesny osad. Obok litości dla tragicznej nieznanym ofiary, niepokoiła mnie myśl o zimnej obojętności.

A jednak... Jednak jeśli ktoś w mojej obecności chciałby powiedzieć, że ludzie są zimni i obojętni, będę gorąco protestować, i stu przykładami udowodnię, że to oszczerstwo. Będę bronić naszych ludzkich wartości przed takim zarzutem. Psycholog powie, że ta obrona jest obroną własną, obroną siebie samego. I nie jest wykluczone, że będzie miał słusność.

Iluż to ludzi walczy w tej chwili o czyjeś zagrożone życie! Ilu poświęca całą pasję swego życia, by przynieść ulgę cierpiącym! Wszędzie, gdzie ktoś jest zagrożony, zjawiają się ofiarni, którzy biorą na siebie część niebezpieczeństwa lub całe niebezpieczeństwo. Widzieliśmy to w latach wojny i widzimy to w czasie pokoju. Więc jakże tu mówić o obojętności?

W najruchliwszym punkcie naszego miasta byłem świadkiem takiej sceny: młody rowerzysta wioził pekatu worek jabłek, nagle worek pękł i jabłuszka poleciały się po bruku, zielone i rumiane, a dokola pędziły samochody i gęsty tłum przechodniów śpieszył we wszystkich kierunkach, z dwóch stron nadjeżdżały tramwaje, a młody człowiek z rowerem stał zagubiony i bezrad-

ny — nieco komiczny dla naszych oczu. Ruch zamarł na chwilę i kilkadziesiąt śmiejących się ludzi, łącznie z dyżurującym milicjantem, rzuciło się podnosić te jabłka, ktoś naprawiał worek, ktoś przymocował go dobrze do siodełka i po chwili było już po incydencie, uszczęśliwiony człowiek na rowerze pojechał swoją drogą, ruch uliczny powrócił do normy.

Znam człowieka silnego i zrównoważonego psychicznie, który płacze rzewnie ilekroć ma okazję słuchać IX Symfonii Beethovena lub muzyki organowej Bacha. Myśląc o tym starożytnym melomanie, pytam siebie samego: jak to się dzieje, że choć nasze pokolenie tyle przeżyło i doświadczyło, jednak nie wyschły w nim źródła tak czulej wrażliwości?

Znam jednego człowieka, które go opuściły dzieci — pozostał na starość sam. Błąka się po pustym mieszkaniu, zagląda do szaf i szufladek, szuka czegoś po kątach i zakamarkach, zadreca się starymi zużyтыми przedmiotami, które wywołują u niego wciąż nowe paroksyzmy płaczu. I każdy taki przedmiot wzmagają jego cierpienie, bo on na każdym z nich znajduje, niewidoczny dla kogoś obcego, ślad miłości, ślad czyjegoś uśmiechu, czyichś uczuć. Płakał. I rozumiałem dlaczego płacze. Ale dlaczego ja płakałem razem z nim?

Tak to jest. Starzejemy się, a wciąż jeszcze towarzyszy nam sentymentalizm — wyhodowany dawno: w młodości, może nawet w dzieciństwie.

A sentymentalizm to wada. Wada, której nie należy się wstydić. Wprost przeciwnie...



RENATA NIEMIRSKA - PISAREK — Kobiety — olej
Fot. M. KOPEC